



ROK LVIII

NR 2

TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 10 STYCZNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Galeria imion w dwudziestu obrazach (dok.)—*J. K. Iłłakowicz*. Czy należy dzwonić na alarm?—*C. Walewska*. Nowe metody i stare prawdy—*K. S.* Aforyzmy i paradoksy—*Z. Zaw.* Christina Rossetti—*Zofja Rościszewska*. Jak piorun...—*John Galsworthy*. Drogami duszy (powieść) c. d.—*Helena Ceysingerówna*. Cienie przeszłości—*Dr. M. Kasterska*. Reforma gospodarstwa kobiecego—*F. S.* Głosy Czytelniczek—*Czytelniczka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—*I. Fabrycowa*. Znaczenie inspektu dla sprawy warzyw—*Stan. Szönsfeld*. Czytelnia dla dzieci w Paryżu—*Ha. Fa.* Z książek—*Z. Szymdtowa*. Ozdobne ściegi. Suknie wieczorowe—*Hr. Annie*. O farbowaniu. Korespondencje—*R.* Wskazówki praktyczne—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy: 1) „Biały Paw”—powieść Henry Bordeaux—autoryzowany przekład *M. Domańskiej*, 2) „Czar Kwietniowy” tom II, (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” (ciąg dalszy) Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

I. K. I Ł Ł A K O W I C Z

GALERJA IMION W DWUDZIESTU OBRAZACH

(Dokończenie)

ZOFJA

Pochyłam się nad Tobą
i dojrzeć Cię nie potrafię,
niby patrząc na starty medal,
lub wyblakłą fotografię.
Masz jedną dla mnie twarz,
choć inne setkami dokoła się piętrzą,
najlitościwszą, najukochańszą,
najświętszą!
Ach, wejrzyj na mnie Ty,
bo mgłę mam na oczach nieprzeniknioną,
bo Cię nie widzę przesiąkniętą światłem,
radosną, zbawioną,
ale z piętnem bólu
niezmiennem, niestartem,
ale z sercem przezemnie
stokrotnie rozdartem!...

Ale siwą i chorą,
biedną i bezsilną...
I pochylałam się nad Tobą
i klękałam z płaczem, jak nad płytą mogilną.

RÓŻA

Wdzięk mści się na niej za to,
że imię ma kwiatom wydarte;
wszystko inne jest jej poddane
wszystko inne jest dla niej otwarte.
Będą słuchać jej mędrcy uważnie
za jej słowem każdym wodząc oczyma,
lecz nikogo nie zaczaruje
i nikogo u swych stóp nie zatrzyma.
I nie ugnie się przed żadną przewagą
i nie podda się żadnej nędzy,
ale każdy kogo ogarnie,
zwyciężony, jednak ujdzie jej przędzy
i na jakimś kwitnącym brzegu;
utraciwszy strach przed nią, zdaleka
będzie sławił jej mądrość nad siły
i wielbił w niej—Wielkiego Człowieka,

I nie dowie się nikt w całym świecie,
kiedy śmierć nad nią spuści zasłonę,
że to serce zawsze było nieszczęsne,
że to serce zawsze było wzgardzone.

BARBARA

Obca wśród swoich, struchlata zawsze,
gotowa z lęku do walki,
bezbronna wobec dziecka,
służącej i rywalki,
ubi pokoje, w których słońce
na grubych pokładach kurzu leży;
lubi ciszę, ciasnotę i mur gruby
— tak by było coś naksztalt wieży.
Szuka męczeństwa. brnie wszędzie,
gdzie trud, znój i opór
i patrzy tylko,
gdzieby głowę położyć pod topór.
Lgnie do biednych, brudnych,
chorych i nieporządných,
wielbi uczonych
i śmieje się cicho z przesądnych.

Rzuca się, jak lew w niebezpieczeństwo
i lęka się pająka, myszy i kwiatu
— Barbara męczennica,
obca sobie i światu.

J A Ś

Tak łatwo ukochany
i porzucony — w piosence;
z pociągami do wierzchowca,
do szabli w prawej ręce,
zaledwie małym chłopcem
do kolan matki się tuli,
a już wygnany, stęskniony,
albo zabity od kuli.
Nie lubi lekkich żartów,
zaraz ma łzy pod powieką:
chętnie zajeżdża w gošcinę,
a żegnać się mu nie lekko.
Nie kłamie, nieraz nie pali,
a już przynigdy nie pije;
ma bary nadto szerokie
i trochę krótką szyję.

Rzadko pomyślnie się żeni,
a gdy się tak zdarzy przypadkiem,
to bywa naprawdę szczęśliwy.
dopiero, gdy jest już dziadkiem.

ROGER

Wąwozy skaliste,
karłowate, kołące krzewy
i śpiewy winobrańców za górą,
miodowe, płynne śpiewy;
muzyka owadów małych
w misterną utkana kanzonę;
oczy nieprzezroczyste,
oprawne w twarze spalone.
Żar krwi nieznośny!
...i walka zażarta z prastarem sumieniem,
pokusy — cięższe od góry,
grzechy, pokryte rycerskim milczeniem.
Samotność... I aż z dna Nieb
nagła, paląca odpowiedź...
i łzy... i padnięcie w proch...
i żarliwa, dziecięca spowiedź...

...I kaptur... i szaty bure, brudne,
spiekłego koloru...
I szczęście, jak symfonia rozległa
w kamiennej orkiestrze klasztoru!

MICHAŁ

By uniknąć pamięci Rosji,
którą mury dotychczas dyszą,
nie nazywajcie go Misiem,
by nie trącił „Miszą”.
Dajcie mu dużo spać,
niech się bawi i będzie wymowny,
a wyrosnie wam na schwał
i czar będzie miał niewymowny:
oczy—niebieskie, brwi—ciemne,
czaszka dobrze nad brwiami sklepiona...
Będą za nim ginęły
prababka, babka, matka i żona;
i niejedna białogłowa przez to zginie,
że go spotka raz,
a potem się z nim drugi i trzeci raz rozminie.

Tylko was proszę,
imieniem najlepszych snów,
co was szczęśliwych kołyszą,
nie nazywajcie go Misiem,
by nie trącił „Miszą”!

IZABELLA

W lenno jej dano dalekie
na ciepłych morzach okręty,
ukryte, pachnące kwiaty,
dziwne, niejasne przynęty;
pięknem jej piękno żywiołu,
nie marmurowej bogini,
choć nie barwą narzuca się oczom,
lecz wabnym wyborem linii.
Niedzolna do przysięgi,
nieczuła na wartość słowa,
boduje się lichy w górach,
nad wodą lepiej się chowa.
Miłości bywa powolna,
od miłości na chwilę odcięta
snuje się niewiedząca,
ogłuchła i wyklęta...

..I zawsze do niej wraca
jak po świętość, jak po opłatek!..
A z ust i oczu najbardziej
przypomina fijołek i bratek.

MAGDALENA

Odkąd przeszła przez jawnogrzesznicтво
i wróciła do nas z pastyni,
ani wielkich, złocistych grzechów,
ani cudów wielkich nie czyni.
Lubi strojne, krótkie sukienki
i świecące, małe fatalaszki,
i pozostał daleko poza nią
chłód i ciężar owej trupiej czaszki,
I pozostał daleko wiew skrzydeł
i czad śmierci, bijący od Krzyża...
Tylko czasem o słońca zachodzie,
kiedy zmierzch nadto szybko się zniża,
nagle schodzi na nią strach czarny,
nagle boleść w nią wstępuje święta
i upada — niewiadomo czemu —
szlochająca, złamana i zmięta...

Lub się zrywa i komuś grozi
i sukienki jedwabne szorpie
a olbrzymie, rozpuszczone włosy
wioną za nią, jak lecące Harpje.

E W A

Przez wzgląd na tamto, zlej pamięci
osławione drzewo,
stara się być grzesznicą,
skoro zwie się Ewą.
Cnotliwa po prababce,
po dziadku leniwa,
chcąc nie chcąc owoc grzechu
nieciekawym zrywa.
Woli odwiedzać więźniów,
trędowatych cieszyć
— cóż gdy nosząc to imię
musi z musu grzeszyć!
Grzech jej utrudnia życie,
męczy ją i brzydzi,
cóż — gdy ją tak w kronikach
zapisali Żydzi!

Jeśli ją według zasług
potomni zaszczyca,
winni ją nazwać
Świątą Ewą, męczennicą.

KRYSTYNA

Nigdy nie będzie dorosła,
bo gdy była za dawnych lat świętą,
jako małą dziewczynkę
zamęczono ją i wreszcie ścięto.
Zawsze ją odumiera ojciec,
lub jej niewiadomo czemu nie kocha,
albo zanudza ją ciotka,
lub źle wychowuje macocha.
Ma duże, jasne warkocze,
oczy — fijołki z ciemniejszą obwódką,
a jeśli mieszka w Anglii
to włosy nosi krótko.
a jeśli mieszka we Francji,
leczy się w Caunes albo w Nizry
na piasku szczerozłotym,
przy Nounou w niebieskiej spódnicy

Nigdy nie będzie silna
nigdy nie bywa zdrowa,
nóżki zawsze trochę zbyt cienkie,
twerczyczka — nadto woskowa,
niezdrowym nieco blaskiem
ogromna źrenica świeci...
A jeśli wyjdzie zamąż
to rzadko miewa dzieci.

EDWARD

Niech Anglja chowa Roberta,
Gwidona, Edgara, Edwarda;
a nas wschód za daleki
i dola dla nich za twarda.
Maciej, Jan, Wojciech rady dadzą,
nie zasmęcają się w sobie;
Edward u nas widzialny
zawsze w pół żalobie.
Zawsze go męczy grypa,
klimat mu nie dogadza,
żona dlań — zbyt sarmacka,
chcąc nie chcąc żonę zdradza.
W czterdziestym którymś roku
kapusta zaczyna mu szkodzić,
nie może jeździć bryczka,
nie może piechotą chodzić.

Szczęśliwy we Francji lub Anglji,
klubami sobie czas skraca...
Niechże więc tam zostanie
i więcej do nas nie wraca.

KAROL

Spojrzał po sobie smutnie
i rzekł z prawdziwym bólem;
„I poco się tak nazywać
skoro się nie jest królem!
Imię — wielkości,
wielkość żąda niewygody.
Pokonywać mocarze,
ujarzmiać narody,
uganiać się za sławą,
w zawody iść o władzę
— nie moja to rzecz zgoła
i onej nie poradzę!
Nie tędy moja droga,
nie takiej chcę zapłaty...
Gdy można wdziać ubranie,
poco „oblóczyć szaty“?

Gdy w życiu melon noszę
i buty zakurzone,
poco mam dźwigać w godle
„miecz, berło i koronę“?

JÓZIO

Nieraz — śmieszny straszliwie,
rzadko siebie pewny,
chyba, że się urodzi
pocziwy a rzewny,
lub w wierszu potępieńczą postawę przybierze.
Lecz nawet i w balladzie
działa — w dobrej wierze.
Choćby nawet się zrodził
dzielny i ognisty,
nie zapomną mu nigdy,
że był w Biblii — Czystym,
że przy Putyfarowej
rolę grał dwuznaczną...
..i wypominać służbę
u Egipcjan zaczął.

Nie pomogą spieszczenia,
bo nawet i „Józio“
w bajce Boya
— to „brzydki chłopiec z krzywą buzią“.

HELENA

Za kształt boskiej służyła
w Grecji Afrodycie,
dzisiaj — eialo bez ducha —
idzie wcląd przez życie,
oparem obumarłych żądź
dzisiejszość truje
i na ustach wybrańców
własną ebuć całuje.
Jak ta, której mił runął
przy Trojańskiej bramie,
sprzedaje cześć rycerzy
i zdradza i kłamie,
choć jest już nie boskości
oblczem odbitem,
lecz rozpasaną dziewczką,
tłustym pasożytem.

A z tamtą wspólną kłatwę ma,
choć różnic tyle,
że przez nią nie Parysy tylko giną
lecz — Achile!

HENRYK

Byłeś mi zawsze cesarzem,
wodzem* i rozbójnikiem,
czemś uwielbionem, groźnym,
blizkiem dla serca i dzikiem.
Byłeś wysoki, barczysty,
silny — jak Goljat! — lecz blady...
O tobie ręka dziecka
skreśliła najpierwsze ballady.
Twój portret, niewidziany
przez bony ani przez matkę
w nocy drząc ręka skreśliła,
choć papier był żółty i w kratkę.
Dla mnie wymordowałeś miasta,
wykopałeś jeziora,
przez ciebie długo się snułam
niewyspana i chora.

I byłeś moim tyranem
i panem mych wielkich włości
prawie aż do przedwczoraj,
prawie aż do miłości...

MARYSIA

Gdy jest nie wschodnią Miriam,
ani angielską Mary, ani z bajki sierotą,
tylko poproste — Marysią, powinna mieć oczy
i głowę małą a złotą; [niebieskie
powinna mieszkać na wsi,
być dobrą, szczęśliwą żoną
i mieć suknię blado-niebieską
zlekka u szyi zmarszczoną.
Jeśli się taka nie uda,
jeśli się z tem rozminie,
łatwo popada w chorobę
i schnie, i więdnie, i ginie.
A trzeba tylko rozwagi,
by wolę losu spełnić
i to co w obrazie brakuje
wyśledzić i uzupełnić.

Czasami to rzecz tak drobna
jak u malarza — kreska.
włosy — troszeczkę zbyt jasne,
lub suknia — nadto niebieska.

KAZIMIERA

Zgubione moje imię
lśni nad Tobą w złocie,
Królewskich Jagiellonów
najczystszy klejnocie,
nad głowami aniołków
w pogodnej kaplicy,
gdzie słyhać świergot wróbl
i klekot ulicy.
Złowieszczego wyrazu
z Twej przyczyny zbywa,
na promieniach Twej łaski
w niebo się porywa,
złotem wstążki
z dzieciątka usteczek wykwiła,
które sąsiada w chmurach
o Twą chwałę pyta.
Nieszczęsne moje imię
już mię nie urazi,
nie zwiedzie kłatwą pychy,
rdzą smutku nie skaz,
nie zmjerzi mię
mierności zętała perzyna
za Twoją, Królewiczu Lilijo, przyczyną.

CZY NALEŻY DZWONIĆ NA ALARM?

Kurjer Polski powtórzył pogłoskę, obiegującą jakoby szerokie koła urzędnicze, że kobiety—funkcjonariuszki państwowe nie będą stabilizowane. Jaka część prawdy tkwi w tem?

Premjer Grabski — według Gazety Porannej — pocieszył delegację urzędników, która była u niego w sprawie stabilizacji, że nie jest tak groźnie, jak przewiduje pesymizm złowróbnych puszczyków. W niektórych, dobrze zorganizowanych urzędach możliwe jest, że nawet 100% funkcjonariuszy będzie stabilizowanych, a więc—i kobiety, boć przecież nawet po dotychczasowych walnych redukcjach znaczna ich część pozostała na stanowiskach.

Zresztą, stabilizacja zależy od wyniku egzaminów, jakim będą poddani urzędnicy i urzędniczki, którzy nie przebyli jeszcze pięciu lat na służbie państwowej (Ci pięcioletni o tyle jednak zostaną zwolnieni od egzaminów, o ile komisja kwalifikacyjna wyda im dobre zaświadczenia, to znaczy — uzna ich za odpowiednich i zdolnych do pełnienia danego urzędu).

Po mieście obiegała jeszcze jedna pogłoska, że do egzaminu nie zostaną dopuszczone urzędniczki, które mają mężów na służbie państwowej. Ta pantoflowa poczta może mieć źródło w tem, że przy wszystkich dotychczasowych redukcjach kierowano się zasadą zwalniania w pierwszym rzędzie żon funkcjonariuszy na stanowiskach rządowych lub pobierających pensje rządowe.

W wielu wypadkach redukcje były usprawiedliwione. Zostały usunięte np. żony posłów, otrzymujących, jak wiadomo, pensje niemal ministerjalne obok wszystkich możliwych ulg, przysługujących na najwyższych urzędach. Większość

pań tych traktowała zajęcia swoje jako rzecz zupełnie dodatkową do całokształtu życia codziennego. Przychodziły, kiedy chciały lub—nie przychodziły wcale, chociaż — stanowiąc t. zw. „małą rodzinę“ (bezdietną lub jedno dziecko) nie mogły mieć na usprawiedliwienie swoje wielkich ciężarów domowych.

Oczywiście, wszechmożna protekcja i tu murem pleców zasłoniła niejedną leniwą, niewykwalifikowaną żonę lub... damę serca dygnitarza kosztem dzielnych, zasłużonych pracownic, dźwigających ciężar „dużej rodziny“ (od czterech osób począwszy). Ale — łatwiej struć bakcyła raka, duru, tuberkulozy, aniżeli wyrwać to żądło jadu odwieczne, jakim jest protekcja i nepotyzm.

Zasada powinna być zasadą, usuwanie żon zarobkujących mężów, o ile nie cierpi na tem sprawność danego urzędu, ma słuszość za sobą, ale — weźmy odwrotną jej stronę!.. Jeżeli na służbie państwowej jest mąż i żona, mąż — niedołączny, żona — sprawna i bystra, to czyż redukcja nie powinna dotknąć przedewszystkiem męża? — Ale — takiego wypadku jeszcze nie było.

Ustawa o państwowej służbie cywilnej z dnia 17. II. 1922 r. (znowelizowana później) zapewnia funkcjonariuszom obu płci równe prawa. Pewne odchylenia są w ustawie emerytalnej z dnia 1. VIII. 1923 roku. Bo gdy wdowa po emerycie otrzymuje zaopatrzenie po mężu bez zastrzeżeń, wdowiec po emerytce—na mocy Art. 2 — musi przedstawić wiarygodne zaświadczenie, że jest niezdolny do pracy, aby uzyskać „wdowie“ prawa. Natomiast t. zw. „pośmiertne“ (trzymiesięczna pensja) przysługuje za-

równo wdowcom, jak i wdowom. W obliczu śmierci nawet więc i ustawy nie rozgraniczają płci.

Oficjalnie—na zasadzie ustaw — niema niby różnicy między prawem położeniem urzędniczek, a urzędników państwowych. Co się dzieje wszakże za kulisami?

„Nie dopuszczajmy kobiet do wyższych stanowisk!“ — To, jak lawina, mocą tajnych rozporządzeń runęło od Ministerstwa do Ministerstwa. Nikt z Jowiszów niby nie wie o tem, każdy się tego wypiera. A jednak... Tytuł i rangę „Radcy“ piastuje tylko p. T. Męczkowska, którą ten zaszczyt spotkał jeszcze przed tajnym okólnikiem. Całą grupę starszych referentek—bardzo zdolnych, bardzo wykwalifikowanych i wysoce w pracy państwowej zasłużonych, które były na liście do wyższych odznaczeń, ominęły one, bo... zmieniły się wiatry.

To spychanie dzielnych pracownic do niższych kategorii, to rozmyślne lekceważenie ich 3/4-trudu roboczego tylko dlatego, że nie są mężczyznami—to jest ten najgroźniejszy miecz Damoklesa, przed którym bronić się trzeba!

W jaki sposób? Czy drogą zrzeszania się urzędniczek w odrębne organizacje, jak radzą niektóre pisma?

Po co? — Skoro w Stowarzyszeniu urzędników państwowych mają równy głos i równe prawa.

Należy jednak z nich korzystać. Należy podnosić wrzawę wobec każdej krzywdy. Żadne przesunięcie do wyższych kategorii urzędnika o małych kwalifikacjach, a zostawienie w cieniu urzędniczki dyplomowanej i wyrobionej nie powinno przejść bez echa. Dopominać się, walczyć!.. Ale tylko na podstawie dokładnych i uzasadnio-

nych danych. Każda przegrana popsuje sprawę na długie lata.

Alarm podnosić trzeba zatem na razie—o tę wyraźną, jawną, namacalną krzywdę. Stabilizacja? — Naturalnie, że należy mieć się i tu na baczności, czuwać, nie przepaść chwili. Ale—to jeszcze mgła tajemnicy.

Jest tendencja do niestabilizowania jakoby 50% ogółu urzędników (czemu premier dyskretnie przeczy). Jest tendencja do niestabilizowania jakoby żon urzędników państwowych, objętych stabilizacją.

Opiaramy się tymczasem na „jakoby”. Ostatecznych uchwał nie ma jeszcze. Pertraktacje, porozumienia, rozprawy trwają wciąż i — być może — przeciągną się jeszcze czas dłuższy.

Tymczasem należy zmobilizować opinię. Gdybyż ona chciała być tym trującym mikroblem przeciw jadom protekcji!

Nie ulega wątpliwości, że i stabilizacji dopomoże mur pleców, a egzaminy w wielu wypadkach staną się tylko wygodnym płaszczkiem.

Nie stabilizowani urzędnicy pozabawieni będą całej masy ulg



i przywilejów. Przedewszystkiem—niepewni jutra, zawieszeni w służbie na włosku. Dzieciom ich nie wolno będzie korzystać z nauki na koszt rządu. Zniesiona dla nich zostanie bezpłatna pomoc lekarska i pięćdziesięcioprocentowa zniżka przy opłacie za przejazdy kolejną. Zaciąży na nich musowe nałożenie do Kasy Chorych i opłacanie składek, co znacznie zwiększy ciężar wydatków.

Czy można dziwić się zdenerwowaniu, z jakim oczekiwane są wyroki? — Kto wie, co i na kogo padnie?

W walce o byt chwytą się za byle jaki oręż, a kobieta jest dyskretniejsza, bardziej lękliwa i — powiedzmy — uczciwsza w wyborze broni od męskich swych kolegów. Szanse więc nierówne.

C. Walewska

NOWE METODY I STARE PRAWDY

I.

„Wszystko już było” powiedział Ben Akiba. „Niema nic nowego pod słońcem” powtarzamy niejednokrotnie, a jednocześnie chlubimy się postępowaniem, rozwojem, ewolucją. Czy zachodzi tu sprzeczność, czy nieporozumienie? Gdzie leży prawda? Zależy od punktu widzenia.

Ach, te punkty widzenia! — które sprawiają, że można być równocześnie wiarołomnym małżonkiem i zacnym obywatelem, nieuczciwym politykiem i szanownym patriotą, kiepskim nauczycielem, ale za to doskonałym urzędnikiem.

Mam wrażenie, że nasz „postęp” polega często właśnie na wprowadzeniu tego nadzwyczaj sprytnego wynalazku, jakim jest „punkt widzenia”.

„Kalós kagathós” — mówił Grek starożytny i gardził sofistą, który twierdził, że można sprytną djalektyką udowodnić wszystko, choćby

największe sprzeczności. Starożytni znali jeden tylko punkt patrzenia: istotna wartość moralna człowieka była bezwzględny miernikiem jego wartości wogóle — bez ustępstw i bez zastrzeżeń. Starożytni oceniali człowieka wedle jego wartości obywatelskiej, jako członka społeczeństwa i państwa. W tym duchu wychowywano też młodzież. Że metody wychowawcze, które stosowali, były nienajgorsze, świadczą rezultaty osiągnięte: ten wspinały typ człowieka — obywatela, który zdobył potęgę i sławę świata starożytnego, a przedewszystkiem ten wysoki poziom kultury, do dziś dnia nieśmiertelnej.

Od tego czasu dużo się na świecie zmieniło. Zmienił się typ człowieka, zmieniła się forma życia, zmieniły się także metody wychowania. Czy mamy prawo powiedzieć, że zmieniło się wszystko na lepsze? Czy poziom naszej kultury przewyższa kulturę starożytną? Oto pytania, które często sobie stawia-

my i na które odpowiadamy w najlepszym razie z całą masą zastrzeżeń. Mówi się wtedy z wielką swadą o rozwoju techniki, ekonomji, życia gospodarczego, pomijając ostrożnie dziedzinę życia duchowego w widocznej obawie, aby porównanie nie wypadło na naszą niekorzyść. Ale bądźmy szczerzy i powiedzmy sobie zupełnie otwarcie: dzisiejszy człowiek i obywatel nie tylko nie przewyższa, ale stoi pod wieloma względami dużo niżej od przeciętnego typu Greka czy Rzymianina — i to właśnie pod temi względami, które decydują o kulturze ludzkiej w najgłębszym znaczeniu.

A jednak dumni jesteśmy i chlubimy się przy każdej sposobności rozwojem naszej pedagogiki i naszych metod wychowania. Przypomina to trochę znany dowcip o operacji, która się udała mimo śmierci pacjenta. Coraz lepsze mamy metody wychowania, a coraz gorszych ludzi.

Skąd to pochodzi?

Jeśli rezultaty osiągnięte są liche, to nie wszystko jest w porządku. O tem niema dwóch zdań. Albo więc w samej metodzie tkwi przyczyna zła, albo w nieodpowiednim jej stosowaniu. Mam wrażenie, że w jednym i drugim.

O nowych metodach szkolnych mówi się dziś dużo i pisze wielotomowe dzieła. Wychodzą tysiące czasopism fachowych, tej tylko sprawie poświęconych. W ciasnych ramach artykułu nie może być mowy o wyczerpującem traktowaniu tego przedmiotu. Chcę dotknąć tylko kilku spraw, które praktyka życiowa wysunęła na pierwszy plan tego zagadnienia. Chcę zwrócić uwagę na te cechy, które są dla nowych prądów pedagogicznych najbardziej charakterystyczne, spojrzeć na nie w świetle doświadczenia szkolnego, aby móc odpowiedzieć na pytanie: czy i o ile spełniły się nadzieje, do nich przywiązane.

Powiedziano sobie: trzeba zerwać z werbalizmem w nauce szkolnej, z tą metodą abstrakcyjnego, czysto słownego nauczania. Zupełnie słusznie! Dziecko powinno o ile możności osobiście poznać to wszystko, o czem się uczy. Powinno widzieć, słyszeć, dotykać, osobiście badać i samodzielnie dochodzić do wyników. Każdy uczeń powinien być małym badaczem, który pod dyskretnym kierunkiem

nauczycieli samodzielnie zdobywa wiedzę,

Aż dotąd doskonale!

Ale tu zaczyna się „mała“ trudność. Czy organizacja naszych szkół jest do tej metody przystosowana? Czy rozporządzamy odpowiednią ilością nauczycieli, pracowników, przyrządów, okazów, czasu i przestrzeni? Czy mamy nauczycieli odpowiednio przygotowanych—i co najważniejsze—czy nasze programy szkolne istotnie na to pozwalają?

Trzeba stwierdzić bezstronnie, że między instrukcjami oficjalnymi, które władze szkolne podają w duchu prądów nowoczesnych, a konkretnymi warunkami, jakimi szkoła rozporządza, zachodzi, jak dotąd, wielka rozbieżność. W praktyce wynikiem jest pewna powierzchowność i „tandeta“—dużo pięknych słów, a mało realnej treści.

Z tych szumnych pracowni przyrodniczych, fizykalnych, chemicznych i t. p. wychodzą ostatecznie

młodzi ludzie z o wiele mniejszym zasobem wiedzy, niż to było przed laty. Brak czasu, brak środków, a przede wszystkim przeładowanie szkół udaremniają zupełnie tendencję nowej metody.

Drugim postulatem nowej pedagogiki jest: ułatwianie pracy uczniów.

Powinno się naukę podawać w takiej formie, aby uczeń od razu nauczył się lekcji w szkole, aby nie „kuł“ nie ślęczył, nie przemęczał się w domu!

Znowu zasada słuszna—ale z pewnymi zastrzeżeniami. Nie wolno bowiem zapominać o tem, że jeśli w klasie jest przeciętnie czterdziestu kilku uczniów, jeśli dziennie jest sześć lekcji, następujących po sobie bez związku—to u większości uczniów mowy być nie może o dostatecznem skupieniu uwagi, a więc o należytem przyswojeniu podanych wiadomości. W tych warunkach praca w domu jest konieczna, jeśli chcemy osiągnąć jakiegokolwiek rezultaty.

Pozatem miałam niedawno sposobność w innem miejscu podkreślić jeszcze inne względy, dla których zupełne wyeliminowanie nauki domowej nie byłoby pożądaniem. Osobisty wysiłek i samodzielna praca ucznia grają zbyt wielką rolę zarówno w zdobywaniu wiedzy, jak i w rozwoju charakteru.

(c. d. n.)

K. S.



AFORYZMY I PARADOKSY

Miłość nieodwzajemniona, jeśli ma być uznawana, musi pozostać w ukryciu.

Są radości, które wymagają niemniej szacunku od tragedji.

Pobłażliwość jest pewną formą pogardy dla ludzi—gdyż, aby wszystko przebaczyć, trzeba bardzo mało wymagać.

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

CHRISTINA ROSSETTI

(1830 — 1894)

Poza nieliczną garstką ludzi, interesujących się obcą literaturą i twórczością kobiet, naogół mało wiemy w Polsce o jednej z najwybitniejszych pisarek i poetek angielskich, Christinie Rossetti, zmarłej u schyłku wieku ubiegłego. Zanim poznamy kilka jej pięknych wierszy, podanych dziś w przekładzie, postaramy się streścić w głównych zarysach życie i działalność twórczą tej pod wielu względami niepospolitej kobiety.

Sądząc jedynie z pozorów, to życie upłynęło w sposób niesłychanie cichy i jednostajny. Wprawdzie Christina spędziła je przeważnie w stolicy, tętniącej życiem, w środowisku ówczesnego Londynu, lecz dni jej mijały w odosobnieniu niemal pustelniczem. Podobno miała swoje przekonania polityczne i nie obcemi jej były hasła wielkich partyj w kraju, a niektórym sprawom filantropijnym czy społecznym poświęcała się z zapałem, ale jej serce, podobne sercu cierpiącej oblubienicy z jej własnego utworu:

„Trwało milczące poprzez gwar
I ruch zgłębliwy ulicy“,

a fragmenty z jej życia, znane szczupłemu gronu najbliższych i przyjaciół, to pasmo nieprzerwane monotonicznych dni. Wprawdzie pod gładką powierzchnią mogły szaleć burze na podobieństwo Morza Lodowego z Apokalipsy, ukrywającego w głębi płomienie. Dwa razy z rzędu, pod wpływem przekonań religijnych o zabarwieniu mistycznym, nie zgodziła się na zawarcie małżeństwa, które skądinąd przedstawiało się w sposób bardzo zachęcający. Ale Christina ukrywała zawsze głęboko cierpienia, które ją nawiedzały. Pełna hartu i spokoju uzbroidła duszę w tarczę nieprzebranej cierpliwości i słodyczy bezmiernej. Dlatego to jej żywot, jakkolwiek obfitujący w cierpienia moralne da się streścić niemal w kilku zdaniach: poświęciła się Bogu, poezji i czulej, a niestrudzonej pieczy nad rodziną i matką, która osiem lat wcześniej od córki rozstała się z tym światem. Tej uwielbianej matce Christina z radością dedykowała jedną po drugiej—własne książki.

Kiedy powyższe zostało powiedziane, wszystko prawie wiemy o poetce.

Christina Rossetti przyszła na świat w grudniu 1834 r. Należała do znanej bardzo rodziny. Ojciec jej Gabriel Rossetti był Neapolitańczykiem, literatem i kustoszem bronzów w Museo Bourbonico w Neapolu. Umiłowanie wolności w pierś mu płonęło i znajdowało gorący wyraz tak w słowie jak i w piórze. Był on poprzednikiem na mniejszą skalę Mazziniego, Cavoura i Garibaldiego—toteż z czasem zmuszony był emigrować, bowiem za despotycznych rządów Ferdynanda I nie było miejsca w kraju dla agitatorów i patryotów. Zamieszkawszy w Londynie, utrzymywał się z wykładów włoskiego w King's-College, a w godzinach wolnych od pracy obowiązującej, pisał komentarze do „Boskiej Komedji“ Dantego, poczytując to sobie za prawdziwy wypoczynek.

W Londynie wśród włoskiej kolonji tam osiadłej wybrał za żonę Frances Mary, Lavinję Polidori. Matka późniejszej pani Rossetti była Angielką, tak więc ciemna północ i jaskrawe południe weszły w skład jej natury. W ten sposób dzieci pp. Rossettich miały w sobie dwie trzecie krwi włoskiej i jedną trzecią krwi angielskiej i może właśnie dzięki różnorodnym temperamentom i narodowościom, które się w nich połączyły, zawdzięczały własne, bogate uzdolnienia.

Christina miała troje rodzeństwa. Najstarsza Maria Francesca późniejsza autorka: „A shadow of Dante“ (Cień Dantego), do której Christina była głęboko przywiązana.

Drugim z rzędu był Dante Gabriel, malarz i poeta, który z czasem miał zasłynąć w świecie jako artysta wielkiej miary. — Trzecim był William Michael, autor szkiców i krytyk, wreszcie najmłodsza z tej niepowszedniej czwórki była Christina Georgina, dziewczeczka, której piękna i pełna wyrazu twarz nieraz została uwieczniona przez brata na czarujących obrazach. Dom pp. Rossettich był niepospolitym.

Urok jego stanowiła dziwnie ciepła i pogodna atmosfera rodzinna, a rzadkie przymioty duszy i umysłu, promieniejące zeń, zjednywały licznych przyjaciół.

Gabriel Rossetti umarł w 1854 r. zdolawszy częściowo ocenić niezwykle udarowaną naturę córki.

Christina była wątłym dzieckiem, a jako dojrzała kobieta przeszła

wiele chorób i cierpień. W pierwszej młodości odznaczała się usposobieniem pełnym powagi, skłonnym do rozmyślań, z latami zaś religja stała się dominującą nutą jej duszy; pomimo tego umysł jej był szeroki i tolerancyjny.

Zresztą całym życiem dała dowód, ile słodyczy i dobroci czerpała z wiary. M-r Watts-Dunton mówi o Christinie, że o ile sama nie zgodziłaby się na najlepsze odstąpienie od dogmatu religijnego, o tyle krąg duchowy, w którym się obracała był „rodzajem eteru powszechnej miłości“. Wiare miała niezachwianą, głęboko współczuła cierpieniom ludzkim i z radością witała oblczę Chrystusa, gdziekolwiek dostrzegła Jego ślady. Ten niewysłowienie słodki wizerunek był jej własnym celem. Nie narzucała się nikomu ze swoim głęboko pojętym chrystjanizmem, ale ci, którzy ją lepiej znali, wyczuwali instynktownie, że obcuja ze świętą kobietą.

Od czasu, do czasu opuszczała Christiana dom rodzinny w Bloomsbury, by odpocząć w jakimś malowniczym, wiejskim zakątku Anglii albo na kontynencie Europy. Raz czy dwa była we Włoszech, w kraju, z którym była związana ścisłymi węzłami krwi i którego nie mogła zapomnieć.

Christina obdarzona była zmysłem obserwacyjnym, subtelnie rozwiniętym. Uwagi jej nie uchodziły najdrobniejsze szczegóły. Dziennik, który nazwała „Time Flies“ (Czas mija) jest najbardziej zbliżoną do biografji i bodaj najszczęśliwą z jej książek. Kochała symbolikę w naturze i nie było dla niej we wszechświecie głosu stworzonego przez Boga, któryby nie miał znaczenia.

Christina Rossetti ubierała się z niesłychaną prostotą, szaroniebieskie oczy, włosy kasztanowate, ruchy pełne harmonji, składały się na tę ujmującą powierzchowność. Na twarzy jej malował się intelekt i pogoda pełna uroku, które w młodości przed cierpieniami jakie przeszła, uderzały każdego, który się z nią zetknął.

Naogół spokojna i opanowana, nie mogła się wyzbyć pewnej nieśmiałości w stosunku do obcych ludzi, jej serce było jedynie otwartem dla Boga i najbliższych jej istot. Bez żalu rozstała się z życiem, spędzonym w ciszy i odosobnieniu.

Dorobek literacki C. Rossetti jest znaczny. Tak prozą, jak wierszem pozostawiła niemało utworów.

Proza jej pełna myśli i mistycyzmu, wymaga odpowiedniego przygotowania, aby należy jej być zrozumianą i ocenioną.

Może chwilami grzeszy zbyt wielką fantazją, nieaktualnym oderwaniem od spraw praktycznych i codziennych, wszelako czytane w sprzyjających warunkach książki te stanowią prawdziwy pokarm dla duszy.

Najważniejszy z jej utworów, pisanych prozą to „Annus Domini” wydany w 1874 — zawierający modlitwę do Chrystusa na każdy dzień roku. Pisane językiem pełnym prostoty — modlitwy te frapują nas swoją głębią i bezpośredniością uczucia.

Seek and Find (szukajcie, a znajdziecie), napisane pięć lat później, jest szeregiem krótkich rozmyślań o temacie Benedicite (modlitwy przed i po posiłku). Tak pod względem muzykalności rytmu, jak i z powodu rozumnego i wnikliwego zrozumienia Pisma Św. Seek and Find zasługuje na uwagę. Jeszcze bardziej wartościową pracą jest: Called to be Saints (Powołani na świętych), wydane w 1881, to jak gdyby pobożny przegląd postaci Świętych i Apostołów z Now. Testamentu — wizerunki duszy, kreślone z pewną dozą sentymentu i trafnym sądem, właściwym Christinie. Wrodzone usposobienie autorki do symbolik występuje najwyraźniej w krótkich szkicach, poświęconych kwiatom i drogim kamieniom. Letter and Spirit (Duch i Charakter) był następnym w szeregu jej skromnych traktatów — w nim roztrząsa Christina Rossetti Dziesięcioro Przykazań i w tym utworze zamyka najistotniejsze swoje poglądy teologiczne.

Time Flies (Czas mija), dziennik, o którym wyżej była wzmianka, ukazał się w druku w 1885 — pełen dziwnego uroku, subtelności, budzi głębsze zainteresowanie. W krótkich, niezapomnianych rozdziałach przesuwają się obrazy z życia prywatnego autorki i może ze wszystkich jej utworów, pisanych prozą, dziennik ten jest najbardziej zrozumiałym dla ogółu.

Najdłuższem, najbardziej frapującym i ostatniem jej dziełem jest, The Face of the Deep (Oblicze Głębokości), w którym komentowana jest Apokalipsa w sposób drobniawowy.

Przechodząc z kolei do poezji Christiny Rossetti, stwierdzić możemy, że obejmuje ona dwie wyraźne kategorie: do pierwszej należy zaliczyć wiersze o zabarwieniu filozoficznym i wiersze miłosne. — Miłość to uduchowiona, szlachetna, zaprawiona niemal zawsze rezygnacją. Różańcem smutku nazwałabym te liryki miłosne. — Nad każdym ziarnkiem dusza pochyla się i rozpamiętuje pobożnie dzieje własnego serca: rzeczy niepowrotne, nieodwołalne, skończone, noszące piętno tragizmu na sobie, jakiegoś „Never More” Edgara Poe — pomimo pozorowanego pogodzenia się z losem.

Niech lepiej przemówi sama Christina Rossetti:

Too late for love, too late for joy,
Too late, too late!

Za późno na miłość, za późno na radość,
Za późno, za późno!

albo:

Thinking of you, and all that was, and all
That might have been and now can
[never be...]

Myśląc o tobie, o tem, co mogło być,
a teraz nigdy się nie stanie...

albo ten rozdzierająco smutny początek jednego bodaj z najpiękniejszych wierszy „A pause of thought” (Chwila myśli)

I looked for that which is not, nor
[can be...]
And hope deferred made my heart sick in
[truth,
But years must pass before a hope of
lo resigned utterly [youth]

Szukałam, czego niema — czego być nie może,
Próżne nadzieje serce gorzoczą zalały,
Lecz lata muszą przejść, nim zgasną wie-
[rzeń zorze]
Młodości okres cały!

Celem ostatecznym tej miłości jest spotkanie z ukochanym w chwale Niebieskiej tronu Boga.

Do wierszy miłosnych należy piękny cykl sonetów, objętych tytułem „Donna Innominata”. Tem mianem nazwała Christina Rossetti nieistniejącą postać poetki z czasów Dantego czy z sonetów Petrarcki, którą kochankowi pocie odplaciła głębokim uczuciem i wyrażała je w szeregu pięknych wierszy. Każdy z poszczególnych sonetów zaopatrzone jest w cytate

z „Vita Nuova” Dantego czy z sonetów Petrarcki.

Drugi cykl sonetów zatytułowany „Later Life” (Późniejsze życie) odśpiewania nam tajemnicy duszy kochającej, zwycięstwa i zawody, nadzieje i obawy, związane z miłością. Każdy z tych sonetów z obu wspomnianych cykli jest w swoim rodzaju małym arcydziełem.

Z dłuższych utworów poetycznych zasługują na uwagę: „Goblin market” (Targowisko chochlików), fantastyczny poemat, pisany muzykalną strofą, i bardzo piękny, „The Princess Progress” (Księżę w drodze) i wiele krótszych liryków, pełnych głębi.

Do drugiej kategorii, o której wspomniałam wyżej, należą wiersze religijne t. z. „Devotional Pieces” „Pobożne pieśni” — wogóle tematy religijne są jedynymi, jakie autorka poruszała w późniejszej dobie swej twórczości.

Christina Rossetti zapatruje się na życie ludzkie z punktu widzenia filozofa chrześcijańskiego, mistyka, ascety. Często nawołuje do pokuty.

The time is short and yet you stay;
To-day, while it is called to-day
Kneel, wrestle, knock, do violence, pray!

Przeczwlekasz? Czas tak krótki w rękę
[twem,
Póki dzisiejszy dzień — dzisiejszym dniem:
Walcz, módl się, błagaj, czołem bij o ziemi!

Tak, życie w jej mniemaniu to „bańka, która pryska”, liść, który opada „skarb rdzą przeżarty” — Christina ma w duszy apostołskie porwy, świat cały zjednaćby pragnęła dla Chrystusa, do którego nieraz przemawia płomiennymi słowami miłości w całym szeregu pięknych liryków. Nad śmiercią zastanawia się często i głęboko, a jej uroczysta powaga i osamotnienie nie napawają poetki obawą — przeciwnie uważa śmierć za wypoczynek zasłużony po żywocie pełnym trudów. W poezji Christiny Rossetti niema miejsca na bezmyślną wesołość i beztronski śmiech pełen pustoty. Z każdego jej słowa wyziera ku nam oblicze pełne powagi, myśli, czasami — surowości.

Naogół jej poezja jest zrozumialsza i dostępniejsza od prozy, a większość jej utworów poetyckich wyrobiła jej miejsce wśród pieśniarzy, których imię przedzie do nieśmiertelności.

Zofja Rościszewska



JOHN GALSWORTHY

JAK PIORUN...

(STROKE OF LIGHTNING)

Było to przed wojną — w czasach kiedy tragedje i komedje życia indywidualnego jeszcze nie utraciły swej doniosłości.

Po kilkuletniem niewidzeniu się z moim przyjacielem Frankiem Weymouth'em, spotkałem go wraz z żoną podczas Świąt Bożego Narodzenia w jednym z wielkich hoteli w Heliopolis. Nic się nie zmienił pomimo swej pracy w charakterze nauczyciela—wychowawcy w szkole powszechnej. Był to ten sam pogodny chłopak o słonecznym, niefrasobliwym usposobieniu. Natomiast żona jego, którą widziałem przedtem dwa razy, zadziwiła mię. Pozostała mi w pamięci jako spokojna osóbką, trochę przyćmiona o niepewnem spojrzeniu — teraz była to prawdziwa kotka, pełna swawoli i przekory i w ciągłej pogoni za rozrywkami. Była to niewątpliwie reakcja po przymusowej powadze, którą musiała zachowywać w domu, gdzie była wychowawczynią czterdziestu chłopców, i wzorem dobrego tonu. Tutaj, w tym naszym egipskim hotelu, z cichą, wyćwiczoną, berberyjską służbą, olbrzymim hall'em, ogrodem palmowym, ciemnymi Arabietami, uwijającymi się po golflink'ach, z pustynią u progu.

— Jessie Weymouth dokazywała i kokietowała swemi wielkimi, ciemnymi oczami, to drapała nas, to znów głaskała małemi łapkami. Życie nagle wstąpiło w nią, jak by pozostawiając za sobą ogon, żeby miała za czem gonić. Ciągnęła nas wszystkich za sobą w swej wesołej pogoni: Weymouth z uśmiechem potakiwał jej najniemożliwszym zachciankom. Sądzę, iż musiał wiedzieć, że jest mu oddana i że „szczeka ale nie gryzie“. Zresztą był zupełnie wyczerpany fizycznie i umysłowo ciężkiem półroczem szkolnem, nie pragnął zdejść się niczego prócz wypoczynku—pogrążenia się w absolutną bezczynność i pławienia się w słońcu.

Nie pamiętam, kto pierwszy rzucił projekt wycieczki na pustynie, ale Jessie Weymouth przeprowadziła go. Weymouth'owie nie byli bogaci, a taka wycieczka dużo kosztuje. Zrobiliśmy zatem spółkę: oni, ja i niejacy państwo Breconbridge, lecz ci ostatni zostali nagle wezwani do powrotu z powodu choroby córki. Jessie Weymouth straciła panowanie nad sobą z rozczarowania.

„Umrę, jeżeli nie pojedziemy teraz“ wołała — „Musimy poprostu wypłoszyć kogoś“.

Wypłoszyliśmy Radolinów, parę Austryjaków, mieszkających w naszym hotelu, z którymi spotykaliśmy się czasem po obiedzie. On — hrabia zajmował stanowisko w jednym z banków w Konstantynopolu; ona była, zdaje się—córką malarza z Wiednia. Zwrócili moją uwagę tem, że stanowili zupełne przeciwieństwo Weymouth'ów. On wykorzystywał swoje wakacje w całej pełni: tańczył, grał w golfa, jeździł konno, podczas gdy ona obojętna, błada, zdawała się wleczone przez swego wesołego małżonka. Widywałem ją nieraz siedzącą bezczynnie we wspianym hall'u, zapatrzoną w próżnię. Nie potrafiłbym powiedzieć nic stanowczego o jej powierzchowności. Miała przepiękną figurę i prześliczne oczy — zielone z czarnymi rzęsami, ale ten wyraz znużonej chojętności szpecił jej twarz.

Przypominam sobie, że wyrażałem obawę, aby to nam nie popsuli wycieczki. Ale nie sposób było odmówić Jessie Weymouth, a wszyscy musimy przyznać, że Radolin był dobrym towarzyszem.

Wyruszyliśmy zatem w dzień Nowego Roku z Mena House jak wszyscy turyści. Mieliśmy zaledwie dwa tygodnie czasu, gdyż dwudziestego, Weymouth'owie musieli być z powrotem w Anglii.

Dragoman nasz był to wesołe ladaco z usposobienia, zaś z pochodzenia Beduin z Algieru. Poza tem mieliśmy dwunastu Arabów, kucharza Greka, siedem wielbłądów, cztery osły i pięć namiotów. Ruszyliśmy zwykłą drogą na Fayoum. Doskonale pamiętam nasz wyjazd. Na przedzie jechała Jessie Weymouth na srebrno-szarym osle i nasz ladaco na swym ulubionym wielbłądzie. Potem Radolin, Weymouth i ja na trzech pozostałych osłach, wreszcie Helena Radolin na drugim wierzchowym wielbłądzie. Juczne wielbłądy poszły przodem. Przez cały dzień wlekiśmy się wzdłuż rzeki w kierunku Sahary, gdzie rozbiliśmy obóz w przyzwoitej odległości od tej cuchnącej wioski. Ja zajmowałem środkowy namiot, mając Weymouth'ów po prawej stronie a Radolin'ów po lewej. Nasz wesoły dragoman wszystko doskonale urządził: obiad stał się wesołą ucztą, dzięki jemu,

Jessie Weymouth i Radolinowi. Pomimo to jednak te trzy dni, w ciągu których jechaliśmy wciąż na skraju osiedli ludzkich, przyniosły rozczarowanie. Dopiero na czwarty dzień dostaliśmy się w szczerę piaski i powietrze pustyni zaczęło nas obrzucać. Noc tę spędziliśmy wśród gołych pagórków pod przedziwnie gwiazdzistym niebem, zimnem i przezroczystym jak kryształ. Przy obiedzie nasz ladaco przeszedł samego siebie, Jessie Weymouth i Radolin zachowywali się jak para warjatów. Weymouth odzyskał swe dawne słoneczne usposobienie. Jedyne Helena Radolin zachowywała swą znużoną obojętność nie dla demonstracji bynajmniej, ale poprostu jak gdyby zatraciła zdolność do wesołości. Tego wieczora orzekłem ostatecznie, że jest to rzeczywiście bardzo piękna kobieta. Długie dnie, spędzane na słońcu, zabarwiły jej cerę, a twarz utraciła swój znużony wyraz. Przynajmniej ze dwa razy w ciągu wieczora dostrzegłem utkwiony w nią wzrok Weymouth'a, jak gdyby i on zrobił to samo odkrycie. Figle Jessie Weymouth i Radolina doszły w ciągu obiadu do szczytu, na zakończenie zaś wybiegli w ciemną noc na wierzchołek sąsiedniego pagórka.

Siedziałem u wejścia do mego namiotu, licząc gwiazdy, gdy przyłączył się do mnie nasz dragoman. Chłopak był w Angli, to też znał się na swobodnych obyczajach zachodu i zachowaniu się naszych kobiet.

„Pani Weymouth to niezła kobieta“, rzekł do mnie, „pan Weymouth bardzo spokojny człowiek. Myślę, że będzie miał dosyć jej flirtów, ale nigdy nic nie powie, djabelnie łagodny. Hrabia też dobry sobie, ale hrabina — o, ta jest z lodu... Jutro dostaniemy w Fayoumie świeżych owoców“. Odszedł do swych ludzi, rozłożonych wśród wielbłądów o jakieś dwieście kroków dalej.

Było dziwnie cicho. Piasek zdawał się przyprószony blaskiem gwiazd i księżyca: nie było wcale wiatru, a jednak panował rozkoszny chłód — nic bardziej podniecającego, a razem bardziej kojącego. „Najłżejszy dźwięk, najmniejsze poruszenie nie zakłóciło tej bezbrzeżnej ciszy.

„Prawda, jak cudownie? Dobranoc“.

To była Helena Radolin, otulona futrem. Weszła do swego namiotu. Siedziałem wciąż, paląc papierosa. Naraz ujrzałem Weymouth'a przed namiotem — jadalnią, z odrzuconą w tył głową, oddychającego głęboko. Przy świetle wiszącej u wejścia latarni twarz jego wydawała się jakby natchniona jakimś dziwnym, tajemniczym szczęściem. Za chwilę i on wszedł do swego namiotu. Po upływie może dziesięciu minut wróciła nasza para warjatów. Pani Weymouth szła przodem bardzo przyciszona. Na twarzy jej malowało się pewne upokorzenie, jak gdyby nieco upadła we własnym mniemaniu. Rozeszli się do swych namiotów. Przez chwilę słyszałem głosy z prawej i lewej strony, potem zapanowała cisza i wszystko pogrążyło się w rozproszonym blasku.

Nazajutrz prawie nie widziałem mych towarzyszy, gdyż znudzony jazdą na osle, szedłem pieszo z Arabami. Weymouth i hrabina jechali, zdaje się, na dwóch wierzchowych wielbłądach, zaś Radolin i pani Weymouth na swoich osłach.

Dotarliśmy do skraju Fayoumu około piątej. Obozowisko to było ciasne. Trudno jest nie słyszeć rozmowy sąsiadów, kiedy wszyscy stłoczeni są w namiotach — to też uderzył mię ton pewnego rozdźwięku w namiocie Weymouth'ów. Jessie Weymouth skarżyła się widocz-

nie, że Frank przez cały dzień do niej nie przemówił.

„Zapewne ci się nie podobało, że wczoraj wieczorem wybiegłam z hrabią? mówiła. Weymouth odrzekł zupełnie pogodnie „Ależ nie, ani trochę, cóż mi to może szkodzić?“

Z milczenia, które potem zapanowało, wywnioskowałem, że Jessie Weymouth była rozczarowana.

Przy obiedzie stanowczo nie było harmonji: mała pani Weymouth była to zuchwała, to smutna, Weymouth i hrabina przyciszeni, Radolin nienaturalny, — nasz ladaco i ja musieliśmy podtrzymywać nastroj. Chłopak był bystry, choć wnioski jego nie zawsze były trafne.

„Pani Weymouth ma muchy w nosku“ powiedział do mnie, gdy wracałem do siebie. „Jutro ja to wszystko naprawię. Dostanę tancerkę w Sennoures. Ta będzie dopiero dobra! Potrafi uszczęśliwić pary małżeńskie!... Dostaniemy też świeżych jaj.“

Głuche milczenie panowało tej nocy w obu namiotach. Całodzienne wędrowka przez uprawne pola Fayoumu doprowadziła nas do obozowiska, położonego po za Sennouresem w gaju palmowym. Był to uroczy zakątek, brakowało mu jednak tego jasnego, chłodnego uduchowania, jakie cechuje noc w pustyni.

Tancerka rzeczywiście okazała się „dobra“. Zwinna, smukła, kusząca, w pobrząku roztrzęsionych paciorek. Podniecenie Arabów, zgorzzone zezujące oczy Jessie Weymouth — absolutnej purytanki, jak się okazało, — śmiech naszego ladaco, wyniosłość Heleny Radolin, która nawet tę córę Egiptu utrzymywała w granicach — oto wrażenia moje z tego przedstawienia:

Pod koniec Egipcjanka zagieła parol na Weymouth'a — nie mogąc zaś od niego uzyskać nic, prócz uśmiechu, wpadła w gniew. Nachylając się do naszego ladaco i zezując ku hrabinie, szepnęła mu coś złośliwego na ucho. Nasz roześmiany ladaco poklepał ją i zaczęliśmy się rozchodzić. W przeciągu dziesięciu minut obóz opustoszał — tancerka, Arabowie — wszystko to znikło w kierunku wioski. Wyszedłem i stanąłem w ciemności wśród palm, przysłuchując się szmerowi liści.

W namiocie jadalnym Radolin grał na gitarze — był to kojący dźwięk po drażniącej muzyce arabskiej. Po chwili ujrzałem wychodzącego Weymouth'a.

Stał pod lampą u wejścia, ogłędając się za siebie. Twarz jego była dla mnie w pełnym oświetleniu, ale niewidoczna, jak sądzę, dla pozostałych w namiocie. Dotychczas stoi mi w oczach wyraz tej twarzy. To było wcielone uwielbienie! (c. d. n.)

31)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(D o w i e ś ć)

— Entuzjasta z pana! — powtórzył profesor. — No, ale przecież złamiecie ten upór, choćby się przyszło uciec do ostatecznych środków...

— Tak, tak! do ostatecznych środków... mówił prokurator osłabłym głosem, z jakimś szczególnym dragniem mięśni twarzy... Wzrok utkwił gdzieś, w przestrzeni, wzrok straszny, nieruchomy, a coraz mętniejszy od tłumy halucynacyjnie rodzących się przed nim widzeń...

— No, żegnaj pana, Aleksandrze Piotrowiczu — rzekł Orłow, po chwili milczenia. A polecam pamięci wiadomą sprawę i o dyskrecję proszę.

— Oczywiście! Oczywiście! Wyjdziemy razem. Czas już i na mnie. Podwiozę pana.

Jewdokimow kazał się wieźć prosto do więzienia.

Tym razem nie wezwano Wandy do kancelarji. Do celi jej wniesiono krzesło i stół. Sędzia śledczy jakoś nie przychodził. Prokurator, rozkazawszy drzwi zamknąć za sobą na klucz, badał sam.

Na stole leżały akta sprawy, prokurator przerzucał je, stojąc. Wanda, wciśnięta w kąt celi, zauważyła, że ręce jego drżą i serce zaczęło jej bić przyspieszonym, szaleńczym tempem.

Wbrew oczekiwaniu Jewdokimow zaczął z całą swobodą.

— Chciałbym otrzymać jeszcze kilka wyjaśnień co do tych broszur, książek, obrazków...

Proszę, niech pani siada!

Jak pani to przywoziła?

— Mówiłam już — suchemi wargami odpowiedziała Wanda — przywoziłam sama.

— No tak, ale ktoś musiał przecież transport przygotowywać, szyc „ornaty?...“ to się tak nazywa?... prawda?... a co? widzi pani...

— Broszury kupowałam w księgarniach, zaszywałam w ubranie sama. Nikt mi nie pomagał.

— Ale, gdzież pani to robiła?

— W hotelu.

— Służba hotelowa była w tajemniczona?

— Przygotowywałam wszystko w tajemnicy przed służbą. Nie mogłam przecież zaufać obcym ludziom.

Prokurator zagłębił się w papiery.

Po chwili utopił wzrok w przestrzeni i zaczął mówić jakoś widać.

— A jak nazywa się ten młody człowiek... który... przynosił pani do hotelu odezwy... młody człowiek, jest niezgrabny... odezwy rozsypał po korytarzu...

Wanda spojrzała nań zdumiona. Ma informacje, czy trafił przypadkiem... czy... wyczytał w jej myślach?... bo właśnie ten drobny epizod przed chwilą niebacznie wywołała z pamięci...

— Nic o tem nie wiem! Nikt mi nic nie przynosił! — zaprzeczała zmieszana.

— Znów — system! — rzucił się niecierpliwie prokurator.

Po chwili zaczął miękko i łagodnie.

— Zaklinam panią, niech pani nie zadreżca siebie i mnie. Czy pani sądzi, że tylko pani odchorowała to ostatnie zajście? Czy pani sądzi, że ja się nie zjadam w tem wszystkim?! Ja — człowiek ciężko chory! Ale co tam! To panią oczywiście nie obchodzi. Jabym jednak chciał panią ocalić, ale muszę mieć jakieś motyw, muszę odsłonić jakiś fragment życia pani, muszę oprzeć się na jakimś zeznaniu. Pani jest młoda, ktoś mógł mieć na panią wpływ, mógł opanować pani wyobraźnię, uczucia, wolę...

No, proszę mi wymienić jakiegokolwiek nazwisko, choćby kogoś z zagranicy, komu nic nie grozi... nie będzie przecież odpowiedzialny...

Wanda zawahała się na chwilę. Tyle szczerości było w jego głosie i nawet chyba w tem co mówił?...

On zauważył to drgnienie jej myśli. Wstał uradowany i podszedł bliżej.

— No proszę! Pani sama widzi, że niema w tem żadnego podejścia. Chodzi o ocalenie pani, o zakończenie wszystkiego jakąś krótką, administracyjną zsyłką...

Ale Wanda już zwiesiła smutno głowę.

— Ja nie proszę o ocalenie. I doprawdy, wszystko, co robiłam, robiłam z własnej duszy i z własnej woli.

Pokręcił głową, zawiedziony, ostygły.

— Więc ja panią przekonam, że tego systemu trzymać się już nadal nie można. Niech pani posłucha! Trzy lata temu, w listopadzie, pewien pan, ksiądz zagraniczny objeżdżał wioski w gubernji Siedleckiej, w okolicach Białej...

proszę uważać!.. odprawiał nabożeństwa po lasach, chrzczył dzieci opornych... dawał katolickie śluby... i wie pani, opowiadają tam coś nakształt legendy... mówią, że woźnicą tego księdza, który woził go, dobrze znanymi sobie polnemi drogami, była pewna młoda panna, nauczycielka z okolicznego dworu, przebrana za wiejskiego parobka...

Śmiał się złośliwie, patrząc na twarz jej, porażoną niespodziewanym odkryciem.

Wandę otoczyły nagle ciemności. Nie widziała nawet tego uśmiechu, czuła tylko, jakby uderzenie młotem w głowę z dwu stron — to krew gwałtownie pulsowała w arterjach.

— Czemuż mi pani nie odpowiada?! Więc, jak się nazywała heroina tej romantycznej historii?

— Ja nic o tem nie wiem. Nie słyszałam... — odpowiedziała cichym, drżącym głosem...

— W zeznaniach pani czytam, że właśnie przed trzema laty była pani nauczycielką w Sokołównku u państwa Jackowskich... musiała pani o sprawie tej słyszeć. To była głośna historia! Wojsko otoczyło tłumy chłopów, zgromadzone w lasach, aresztowano wielu... ale główni winowajcy wymknęli się jakąś nieobsadzoną ścieżyną leśną, czy przejściem podziemnym, może, jako czarownicy, przelecieli ponad drzewami, może, jako świętych, uniosły ich duchy, czy aniołowie... pani zresztą wie najlepiej, jak to było...

Podczas gdy prokurator starał się przygnębić ją szyderstwem, w mózgu oskarżonej odbywał się błyskawiczny proces myśli. Trzeba było na poczekaniu zastanowić się nad tym nowym faktem i natychmiast ułożyć plan obrony. Tu powiedzieć nie można, że się działało na własną rękę... Tu każde nazwisko pociągnie za sobą inne... „tu każde wyznanie będzie ogniwem dalszego łańcucha!... Tu można tylko przeczyć, przeczyć wszystkiemu, bezwzględnie!.. Zdecydowała się.

A prokurator już naglił do odpowiedzi.

— O rozruchach jakichś i aresztowaniach słyszałam. Reszta — to fantazja! Dokoła takich spraw urastają zwykle fantastyczne legendy. Ludzie plotą, Bóg wie, co!... — mówiła już głosem pewniejszym.

— O! pani jest mocna! — zażartował prokurator — ale pani będzie trudno udowodnić alibi.

— Jakto? — udawała, że nie rozumie, by zyskać na czasie.

— Trzebaby udowodnić, że owej krytycznej nocy była pani gdzieindziej — nie w lesie.

— Wszystkie noce spędzałam w Sokołównku.

— A jeżeli znajdzie się świadek, który stwierdzi, że właśnie w tym czasie wyjechała pani z Sokołowską na kilka dni i niewiadomo doka?...

— Niepewnego świadka zawsze znaleźć można — niedbale odparła Wanda, której ostatnie słowa prokuratora przypomniały, z góry niegdyś, przygotowaną broń. Zrozumiała też, że informacje, oparte na plotkach służby, muszą być bardzo niedokładne i niepewne, a prokurator szuka omackiem w ciemnościach...

— No nie! To nie będzie „niepewny” świadek! Radzę przyznać się. Pani widzi, że i tak wiemy już wszystko... I po co było mieszać się w takie rzeczy! To nie kobiece sprawy! Po co narażać się tak strasznie!..

Ojcowski ton tych słów rozśmieszył Wandę. Śmiała się długo, nerwowo i urwała nagle w chwili, gdy wzrok padł jej na zmienioną, kurczem ściągniętą twarz Jewdokimowa.

Wstał i chodził po celi tam i z powrotem, wreszcie siadł znów naprzeciw niej i milcząc wpatrywał się w nią długo... długo... Ten wzrok był nie do zniesienia! Wanda kurczowo zaciskała ręce, by zachować spokój i sztucznie przybrany wyrazem twarzy przesłonić prawdę.

A jemu twarz mieniła się osobliwie jakoś... krew wszystka uciekła z niej, usta krzywiły się chorobliwym, zgniłym uśmiechem... szare, nieruchome oczy mętniały coraz bardziej... i taki był straszny od tej chwili...

— Pani ten system zmieni — zasyczał z cicha — pani go zmienić musi, w przeciwnym razie byłbym zmuszony... pani rozumie... mój obowiązek urzędowy... ja muszę wyświetlić prawdę... jestem człowiekiem pani bardzo oddanym... chciałem panią ocalić!.. pani to odrzuciła — jedyny może moment w moim życiu!.. fatalnie związany jestem z panią... pani tego nie rozumie... oczywiście... ja muszę, muszę bez ustanku dzień i noc myśleć o pani...

Wandę ogarnął lęk jakiejś dziwnej tajemnicy. Przypomniała odczucia własne...

Prokuratorowi coraz wyraźniej drżały usta i ręce.

— Rozumie pani... jabym nie chciał... niech pani nie doprowadza do ostateczności... musiałbym wbrew woli mojej i uczuciom zastosować... są w naszym rozporządzeniu środki, znacznie dotkliwsze od ciemnicy... środki bardzo przykre... środki fizycznego przymusu... jeżeli pani nie zechce dobrowolnie

powiedzieć prawdy, byłbym zmuszony użyć...

W ciszy samotnej celi ten szept złowrogi, coraz cichszy, a coraz wyraźniejszy! Ten szept wnikał w nią... drażnił... przerażał... i wiązał ją na nowo z tym człowiekiem. Blika była omdlenia.;

— Ja panią proszę... jabym nie chciał.. to ostateczność! a będę zmuszony zastosować...

Nie chciał jeszcze wymówić wyrazu... rozkoszował się wywartem na nią wrażeniem... bladością jej, zmieszaniem i dreszczem strachu, który wyczuwał w niej przeczuleniemi nerwami...

Resztką sił zerwała się! Potargała niewidzialne elementy czaru, łączące ją z tym człowiekiem i ochłoneła...

Gdy zwróciła nań znów wzrok, Jewdokimow dotykał ręką okolic serca... głowę miał odchyloną w tył, wspartą na poręczy krzesła... Krople potu wystąpiły mu na czoło, dokoła uchylonych ust pełzał wyraz rozkosznej męki. Patrzyła nań z najwyższym przerażeniem... Nagle głowa prokuratora opadła na stół, a z gardła wydobywał się zaczęło głuche harczenie...

Dusił się, czy umierał?...

Podbiegła do zamkniętych drzwi i zaczęła kołatać...

Podśluchująca prawdopodobnie klucznica, otworzyła natychmiast.

— Ten pan zachorował — zawołała Wanda.

Klucznica osłupiała. Potem, zostawiając drzwi celi otwarte, pobiegła po wodę, posłała po felczerkę... zrobił się zamęt... Jak z pod ziemi zjawił się lekarz i stwierdziwszy atak choroby sercowej, rozkazał dozorcóm przenieść chorego dygnitarza do swego gabinetu.

Wanda została sama, trzęsąca

się, jak w febrze od przeżytych wrażeń, ohydy, wstrętu, obawy! Rzuciwszy się w ubraniu na legimatę, przeleżała tak do rana bezsenna, oddana na pastwę nerwowej burzy... świadomość, że jest w mocy potwora, który zaraża ją swoją psychozą, uzależnia od siebie jakimś niezrozumiałym sposobem i ostatecznie... może uczynić z nią, co zechce, targała jej męstwo. I znów, jako jedyna ucieczka przed nim, nasunęło się samobójstwo! Bo w dodatku plątała się sprawa...

Wiedzą już o księdzu! — może już aresztowany! wiedzą o jej udziale... słyzy złowrogi szept Jewdokimowa... „byłbym zmuszony zastosować“, a jeśli nie wytrzyma męki?!.. obawa przed wydaniem tajemnic konspiracji, przed narażeniem ludzi i wciągnięciem ich w odmęt procesu politycznego góruje w teraz niej nad wszystkim. Wobec tego lęku w myślach Wandy niema tym razem miejsca na wyrzuty z powodu, że uczucia, któremi reagowała na zachowanie się Jewdokimowa nie tylko, nie wyłącznie składały się ze wstrętu i zgrozy.

Następnego dnia chodziła wciąż po celi tam i z powrotem... gromadząc w myśli środki obrony, kombinując różne ewentualności, przygotowując wszelkie odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania, kontrolując niezliczoną ilość razy, czy w odpowiedziach nie wypadną sprzeczności, gubiąc się w domysłach, kto mógł być owym zapowiadany świadkiem, jaką drogą pochwycono te nic?...

Od czasu do czasu w rozważaniu te plątał się natrętny refren: „byłbym zmuszony zastosować...“ Może przewiozą ją do cytadeli... Po Warszawie chodziły zawsze

wieści o stosowaniu w cytadeli tortur, o wymuszaniu zeznań chłosta... straszliwe legendy miasta, deptanego stopą ciemieców...

Ach — raczej śmierć, niż wydać kogokolwiek! Sądziła jednak, że z powodu choroby tego straszliwca zostawia ją przez pewien czas w spokoju. Tymczasem zaraz następnej nocy zbudzono ją około godziny 2-giej.

— Prędko! Ubierać się! Do kancelarii!

Trzęsąc się z zimna i zdenerwowania kładła sukienkę. Gdy brała płaszcz, przyszły jej na myśl groźby wczorajsze. Może to już... Straszny spazmem ścięły jej się szczęki... a w głowie zaczęła w kółko wirować myśl, nie powiem! nie powiem! nie powiem!

Nie wiedziała zgoła, kiedy zeszała na dół.

W kancelarii zastała sędziego śledczego i prokuratora. Obaj panowie byli bardzo sztywni i oficjalni. Sędzia śledczy oświadczył jej, iż wobec świeżo odkrytych dowodów występnej jej działalności, żąda od niej kategorycznie zmiany dotychczasowych zeznań. Twierdzenie jej, iż działała na własną rękę, zostało obalone... musi wyznać, z ramienia jakiej organizacji spełniała zarzucane jej czyny.

Wanda milczała, gdyż naprawdę nie mogła mówić w tej chwili. Martynow nalegał!

— Pan prokurator nie tań przed panią, czem pani grozi ten upór bezmyślny i bezprzykładny. Czy wobec tego, co pani usłyszała wczoraj z ust prokuratora, trwa pani przy swoich poprzednich zeznaniach?

— Powiedziałam prawdę. Nic zmienić nie mogę.

Panowie spojrzeli po sobie. Sędzia śledczy wyjął zegarek. (c. d. n.)

CIENIE PRZESZŁOŚCI

Lekką, nieuchwytną wonią staroświeckich biureczek z różanego drzewa wieje od kart książki, w wstępu której wita nas minjatura młodziutkiej kobiety. Nad wątlą postacią czternastoletniej dziewczynki wykwita twarz prawie dziecienna, ale o oczach poważnych, niemal bolesnych dojrzałej kobiety, o mądrym, zbyt wysokim czole, ponad którym piętrzy się monumentalna fryzura elegancckich pań XVIII-go wieku, taka jaką widuje się na portretach Marji — Antoniny lub księżny de Lamballe.

Jest to szlachetna dama Barbara — Szarlota de Migien de Montange (1762 — 1797), dokumenty, której zabrała jej prawnuczka hrabina de Lagreze—Champol, a opracowała i wydała panna d'Armagnac, przedstawicielka jednej z najstarszych, arystokratycznych rodzin francuskich. Dzieje młodo zmarłej Barbary de Migien są dość tragiczne: w dzieciństwie straciła matkę, wkrótce po wyjściu za mąż ukochaną młodszą siostrę Angelikę — Eleonorę i ojca. Dziewiętnastoletnia dziewczyna, bardzo inteligentna

i wykształcona, lubiąca Paryż i jego doborowe towarzystwo, jest nagle zmuszona porzucić to wszystko dzięki małżeństwu z 48-letnim Karolem, Ryszardem de Montangè, członkiem Parlamentu Burgundji, i przenieść się na prowincję do Dijon, gdzie wszystko jest obce i dalekie. Potem rewolucja francuska, burza rozpętanych żywiołów, konieczność ukrywania swych przekoń i poglądów, obawa o życie męża i dzieci, wszystko to zaciąży nad życiem Barbary — Szarloty. A mimo to wszystko życie ono nie

sprawa wrażenia ani burzliwego, ani nieszczęśliwego. Gdy się czyta pamiętnik młodej kobiety, ma się raczej wrażenie spokoju i, niezwykle silnego, intensywnego, wewnętrznego życia. Obok wielkiej wiary jest tam wielka ciekawość pozagrobowego istnienia. Babka, matka i siostra Barbary zmarły bardzo młodo, ona sama przeżywa przedwczesny zgon i czuje się bliższą zmarłych niż żywych. Jest coś dziwnie mistycznego, tajemniczego prawie, w tem obcowaniu ze zmarłymi przez zasłonę, która zazdrośnie kryje świat zamogilny. Chwilami Barbara pragnie niemal śmierci, aby prędzej zrozumieć tę niezbadaną sferę, aby prędzej zobaczyć tych, co odeszli.

Prędko jednak przypomina sobie, że nie przystoi dobrej katoliczce żywić podobnych pragnień i zdaje się z pokorą na wolę Bożą—Dziwi ją tylko i przeraża, że większość, ba, ogromna większość ludzi, żyje tak, jakby życie doczesne miało być wiecznością, a wieczność doczesnym życiem.

Młodą kobietę oburza również, że ludzie zdają się stale na miłosierdzie Boże i wyraża nadzieję, trochę może zbyt surową, że będzie różnica pomiędzy sprawiedliwymi a grzesznymi, zapominając widocznie o przepięknej przypowieści o robotniku jedenastej godziny w winnicy.

Kto lubi obrazy staroświeckiego życia opowiadane prosto, a jednak barwnie i żywo, podobne do nieco spłowiałych, lecz misternie wyhaftowanych obrazów na kanwie, ten chętnie odczyta dzieje Barbary — Szarloty. Znajdzie tam również mnóstwo ciekawych i pouczających wiadomości z życia towarzyskiego w XVIII-tym wieku we Francji. Kilka mocnych, pięknych epizodów, jak śmierć Angeliki — Eleonory, przygody Barbary — Szarloty podczas jej bytności w Paryżu, właśnie w chwili wzięcia Bastylli, ożywają bardzo tę staroświecką opowieść, pełną ciszy i uroku. „Życie damy z XVIII-go wieku“*)

* * *

Cienie przeszłości wypełniają również książkę młodziutkiej autorki, Heleny Lémery: „Enchantements“**) która w króciutkich obrazkach kreśli nam postacie bohaterów dawnych dni. Oto „dama piękności“, Agnieszka Sorel, najbardziej urocza z kobiet swej epoki, w aksamitach i drogich kamieniach i oto najmędrsza i najsmutniejsza z cieni niewieścich Joanna, biała zakonnica, rozwiedziona eksmałżonka pięknego Ludwika XII, który ją porzucił dla Anny Bre-

tońskiej, Joanna, która po latach rozłąki dziwi się sama sobie, widząc na nowo króla, co w nim kochać mogła i dodaje, że wszystkie pragnienia mijają, jak sen, prócz tajnego i jedynie prawdziwego pragnienia wieczności. Przechodzą potem inne piękne damy, księżna de Chevreuse, pani Pompadour, Marja-Antonina, najlepszą jednak jest bezwątpienia sylwetka Joanny, najbardziej opracowana i pogłębiona.

A wreszcie do cieni przeszłości, choć są zupełnie dzisiejsze, można zaliczyć dwie bohaterki, dwóch świeżo wyszłych z pod prasy książek—auterek—kobiet.

„Joujou wychodzi za mąż“ (Jonjon se marie) to opowieść o losach młodziutkiej dziewczyny niezmiernie psutej i pieszczonej przez zaślepienie jej urodą ojca oraz zbyt słabą matkę. Joujou (zabawka, cacko) swojemi kaprysami i zupełnym brakiem zdrowego rozsądku tak dalece przeraża oczarowanego jej wdziękiem i urodą narzeczonego, który jest dla niej świetną partją, że ten choć zakochany, cofa się przed poślubieniem podobnie nieznośnego dziecka.

Opuszczona przez swego narzeczonego, Joujou traci ojca i bojąc się opieki surowego dziadka, uzyskuje pozwolenie zostania w Paryżu u znajomej, aby pracować na życie. Zaczyna się ciężka szkoła życiowa dla rozpieszczonej Joujou, która w gruncie rzeczy nic nie umie, — nawet pisać ortograficznie, — i nieraz wyśmiana, źle traktowana, musi walczyć na każdym kroku z ludźmi i z samą sobą, Silny, uczciwy charakter dziewczyny ujawni się i wyrobi w tej walce, Joujou pozbędzie się swej dawnej natury zepsutego dziecka, odnajdzie swego narzeczonego i powoli odzyska jego serce. Wszystko więc kończy się jak najlepiej, a żywa i dowcipna książka pani Dyvonne — autorka powieści — może być czytana nawet przez dorastające panienki, ale wyznać trzeba, że typ Joujou to również „cień przeszłości“.

* * *

Znacznie bardziej skomplikowaną jest bohaterka powieści „Ta co przeżyła“ (La Survivante) pani Jean Balde (prawdziwe nazwisko

*) Wydawca Plon — Nourrit. Przedmowa M-gr, Baudrillart.

**) Wydawca „Le Monde Nouveau“

autorki Janina Alleman) Elżbieta Borderie straciła męża na wojnie. Był to artysta niezwyklej miary, ale ona choć wierzyła w jego talent, nie zdawała sobie z niego w pełni sprawy, mając raczej żal do sztuki, że była jej ukochanemu „jakimś rodzajem tajemnego sanktuarjum duchowego, gdzie nawet ona, żona, nie miała prawa wstępu. Elżbieta żyje na prowincji w majątku swych rodziców, ludzi bardzo zamężnych, lecz myśli jej i uczucia w ustawicznej rozterce krąży dookoła wspomnień o jej tak krótkiej i tak tragicznie przerwanej idylli. Jeden z przyjaciół jej męża, młody literat, który skrycie kocha Elżbietę, przekonywa młodą kobietę, aby wróciła do Paryża, w celu urządzenia pośmiertnej wystawy dzieł jej męża i zaznajomienia szerszych kół publiczności z wielkim talentem zmarłego. Elżbieta wyrwa się nareszcie z apatii wspomnień dla spełnienia tego, co uważa za obowiązek swój względem męża, i przybywa do Paryża, do dawnego swego mieszkania. Tu na każdym kroku rani ją wspomnienie, ale jednocześnie powoli zaczyna rozumieć coraz lepiej duszę zmarłego i istotę jego twórczości. Pozagrobowa miłość stanie się tak silną, że młoda kobieta znajdzie w niej siłę do odrzucenia miłości młodego literata i uciszenia w samej sobie przelotnej tęsknoty za nowem, innem życiem.

Jak we wszystkich powieściach pani Jean Balde dużo bardzo odczutego piękna natury, tej bogatej natury z okolic Bordeaux w bujnej Gaskonii, ładne, soczyste, obrazki z życia prowincjonalnego, oraz dramat uczuciowy spokojny, cały w refleksji i w rozumowaniu. Jest trochę ciekawego kontrastu pomiędzy tem nieco chłodnem uczuciem, a gorącym w kolorze tłem pejzażu, odrazu widzi się, że pisała to kobieta, umiejąca patrzeć i myśleć, ale zarazem nawykła analizować swe uczucia. Brak tu uniesienia młodości.

I dlatego Elżbieta w swoich czarnych woalach zdaje się występować z ram starego portretu i być w istocie „tą, co przeżyła“ własną epokę i własną generację, Niestety! Wielu z tych, którym życie przecięła wojna w podobny sposób, doznaje wspólnego z nią losu.

Przesunęły się przed nami cienie przeszłości kobiece, subtelne, wykwintne i harmonijne, niezbanalizowane jeszcze krótko obciętemi po męsku włosami. Innym razem jednak pomówię o tych terażniejszych sylwetkach kobiecych, mniej wdzięcznych i uroczych, ale może odporniejszych w walce z życiem, nieuniknionej w naszej epoce.



REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

WYSTAWA PRZYRZĄDÓW GOSPODARSKICH (2 ÈME SALON D'APPAREILS MÈNAGERS).

I.

Zaledwie zamknęły się podwoje Konkursu Lépine'a, a już znowu wielka hala na Polu Marsowem mieści cuda techniki nowoczesnej. Wystawa, którą omówię w niniejszym artykule, ma inny nieco charakter, niż Konkurs Lépine'a. Ten ostatni, jak wiadomo, przekształcił się drogą powolnej, samorzutnej ewolucji z wystawy zabawek w rewję postępu technicznego, podczas gdy „Salon“, zainicjowany w zeszłym roku, posiadał od razu wyraźnie zarysowane oblicze i zadania. Stąd konkurs szykuje dla tych z pośród zwiedzających, którzy mają szerszy krąg zainteresowań, szereg miłych niespodzianek, zaś Salon daje ze swej strony pełniejszy obraz poczyniń na polu reformy gospodarstwa domowego.

Fabrykanci i wynalazcy wysilili się, by w powodzi przyrządów, służących tym samym celom, uwydatnić zalety swych wytworów; z tego zbawienego współzawodnictwa zrodziły się arcydzieła pomysłowej reklamy i kunsztu dekoracyjnego. Nie brak żadnego elementu estetycznego w tej harmonijnej całości: światło i barwa, ruch, linja i dźwięk kojarzą się w niezrównanym efekcie. Kinematograf pokazuje nam w dowcipnie pomyślanej serji obrazów, pierwszeństwo mechanicznego czyszczenia mieszkań nad dawnym zamiataniem. Wreszcie, by nie skrzywdzić żadnego zmysłu, pomyśleli organizatorzy o rozkoszach podniebienia i zorganizowali bezpłatny poczęstunek, złożony ze smacznych, małych rybek z przypiekanymi kartoflami. Ojczyzna Brillat - Savarin'a, prawnika-gastronoma, podniosła sztukę kulinarną na wyżyny akademickie; i żałować wypada, że brak jedenastaj-Muzy, nie pozwolił nazwać jej imieniem tych niezliczonych szkół kucharskich z „Enseignement Supérieur de Cuisine“, przy Tow. Naukowym racjonalnego odżywiania na czele, które godnie zachowują tradycje wielkich kucharzy i smakoszy „ancien régime'u“.

Obok, jeśli można się tak wyrazić „tradycji w czasie“ nie zaniedbuje Francja również „tradycji w przestrzeni“. Ogólna tendencja

do zwalczania nadmiernej, w przeciwieństwie do stosunków niemieckich, centralizacji życia politycznego i kulturalnego, przyczyniła się także do popierania przejawów rodzimej „twórczości kulinarnej“. „Salon des appareils ménagers“, na równi, nawiasem mówiąc, z „Salon d'Automne“, codziennie przedkłada zwiedzającym obiad, złożony z przysmaków prowincjonalnych. „Samorząd smaku“ triumfuje.

Podkreślić należy, że praktyczni Francuzi dążą, pod pozorem pełnej wdzięku gościnności, do poważnych ekonomicznych celów. Wspomniany powyżej bezpłatny poczęstunek, zachęcić ma publiczność do spożywania tańszych ryb, a do ograniczenia konsumpcji droższego, wskutek niedostatecznej ilości bydła w kraju, a niskiego stanu waluty, mięsa. Tym sposobem dyrekcja wystawy stara się przyczynić do wykonania jednego z punktów programu walki z drożyzną, nakreślonego niedawno przez Radę Ministrów.

Rys. 1



Jednocześnie zorganizowano na wystawie odczyty, które mają zobrazować rozliczne sposoby prowadzenia akcji przeciwko drożyznie i zachęcić społeczeństwo do czynnego w niej udziału. Utile cum dulci—dewizę tę mogli umieścić organizatorzy nad wrotami wystawowemi.

II.

W porównaniu z Konkursem Lépine'a uderza mniejsza ilość drobnych eksponatów, natomiast większy wybór najgłówniejszych przyrządów, które czynią zadość podstawowym potrzebom domowym. Wspaniale przedstawia się dział amerykański. Według objaśnień, udzielonych przez komisarza tego działu, p. Broisat'a, współpracownicze „Quotidien'a“, nie obawia się dyrekcja współzawodnictwa obcego; przeciwnie, pragnęła okazać wytwórcom francuskim niedoścignione dotąd wzory i zachęcić ich do wzmożonej działalności oraz wykształcić kupującą publiczność. Uderza w tej akcji wysoki poziom estetyczny i higieniczny. Pod zręcznym piecykiem gazowym, nadającym się do gotowania, pieczenia i smaże-

nia, a zaopatrzoną w kratę do garnków, znajduje się ruchoma, emaljowana płyta, pozwalająca zmyć z łatwością rozprysnięty tłuszcz lub płyn, który wykypiał. Biały stół z licznymi szufladami, otacza ry-nienka, zapobiegająca wylaniu się płynów na podłogę. Śmiecie wrzuca się do pudła, które można otwierać zapomocą pedału, bez nachylania się i dotykania ręką. Dzięki użyciu emalii uniknięto mozolnego czyszczenia metali. W dziale tym uderza jeszcze parę innych, dobrych wynalazków, że wymienimy zębaty pręt, przymocowany do szafy, na którym opiera się obcasami buty, unikając tem samym wiecznego przewracania się i zawieruszania obuwia.

W dziale francuskim spotykamy wiele eksponatów, opisanych już w swoim czasie; wspomnę więc tylko o tych, które bądź przeoczyłam w nawale wrażeń, bądź też o tych, które wystawiono po raz pierwszy.

Capil-Plante. Ogólną uwagę zwracał system automatycznego podlewania kwiatów, dzięki zastosowaniu cechy włoskowatości. Prześlicznie wykonane metalowe żardynierki, o podwójnych ściankach, zaopatrzone są w zgięte rurki, których odpowiednio spreparowane wnętrza nasiąka bezustannie wodą, wlaną uprzednio pomiędzy ścianki. Ilość przekazywanej w ten sposób wody, daje się dowolnie regulować. Jeśli ten przyrząd istotnie dobrze funkcjonuje, czego nie miałam niestety możliwości sprawdzić, zaoszczędzi wiele czasu i fatygi miłośnikom kwiatów i palm pokojowych, pozwalając im oddalać się na dłuższy czas z domu, bez powierzania ulubionych roślin kosztownej opiece ogrodników lub nieinteligentnej służbie, oraz daje możliwość uniknięcia częstego podlewania, które nie obywa się prawie nigdy bez różnego rodzaju katastrof i szkód. Ceny doniczek i żardynier, zaopatrzonych w Capil-Plante nie są wygórowane; pierwsze kosztują 2.55 franków, drugie 40.80 franków; doniczki do zawieszania na suficie kosztują 35.63 franków.

Classabi jest przyrządem, zastępującym haki do wieszaków (rys. 1) pozwala dzięki swej wysuwalności, uniknąć nieprzyjemnego szukania w przepełnionej szafie, przyczem, jak wiadomo, suknie zaczynają spadać i gniołą się. Cena „Classabi“—15 franków.
(c. d. n.)

GŁOSY CZYTELNICZEK

„ŚWIAT KOBIECY“ CZY HUMORYSTYKA

Numer gwiazdkowy jednego z najważniejszych naszych dzienników, Okolicznościowy artykuł wstępny. nawiązujący do pierwszego mocarstwowego wspomnienia w dziejach Państwa Polskiego. Jak zwykle, bogaty, obszerny dział wiadomości politycznych. Jak zwykle, wyjątkowo na nasze stosunki dziennikarskie dział ekonomiczny. Pośrodku kilka utworów z dziedziny literatury i krytyki, z tych jedne lżejsze, inne poważniejsze, a wszystkie w jak najlepszym stylu. Ton kroniki bieżącej odpowiedni — żywy, taktowny, umiarkowany. I nagle jedna stronica zatytułowana: Świat kobiecy jaskrawo wyróżnia się w tej szarmonizowanej całości.

„Kobieta w polityce i dyplomacji“ od czarnej królowej Saby do posłanki Sowietów w Norwegii, towarzyski Kołłontaj. „Chemja w gospodarstwie domowym“. „Moda“ w kilkunastu wierszach. Dość duży rozmiarami odcinek: sprawozdanie z pamiętników dwóch „sensacyjnych“ księżniczek przedwojennych. I korona wszystkiego: artykuł wstępny tego świata czy półświatka kobiecego pod obiecującym tytułem „O dawnej Świętej Rodzinie i dzisiejszej nie świętej“.

Posłuchajmy. „Tradycja gra, jak muszla, w której szumi morze“. Więc „oto tak, je się mak, soląc go łzami rozczulenia“. Szanowna autorko, nie radzę przyprowadzić maku na słono: wątpię, czy ktokolwiek, najbardziej nawet współczesny odstąpi od tradycji słodkiego maku. Natomiast w myśl starego przysłowia życzliwie radzę: jadać maku jak najwięcej. A poważnemu dziennikowi politycznemu nie będzie się potem zdarzało sprzeganie rządów demokratycznych ze starem świętem Trzech Króli, którzy po drodze do Rzymu mogli zejść tym razem na Krym tylko przez karczmę babską (nie babińską). A łamy tego pisma wolne będą od aforyzmów w rodzaju takich np.: „wiara Kalwina staje się wyznaniem rozwodników i samobójców“; od niedawna (!) miłość „stała się najpopularniejszym celem małżeństwa“; „rodzina dzisiejsza jest improwizacją“ i t. d.

O parę szpalt przedtem w tym samym dzienniku krytyk Francuz, pisząc o nowej sztuce głównego autora paryskiego, mówi dosłownie: „Ma to być obraz młodzieży powojennej... ludzie, którzy nie posiadają określonego zawodu, czas spę-

dzają na tenisie i proszonych herbatkach i nie biorą miłości na serjo. Orodowisko, w jakie autor widza wprowadza, może istotnie obudzić tylko odrazę do tej powojennej młodzieży obojga płci“.

Wiktrowi Margueritte za przedstawianie powojennych dziewcząt francuskich w mało przychylnym świetle odebrano krzyż Legji Honorowej. Autorka artykułu o Świętej Rodzinie podobno nie ma na szczęście Polonii Restituty, więc jej nikt niczego odbierać nie będzie. Przeto tylko prośba do poważnego dziennika od poważnych kobiet: prosimy dział „Świata kobiecego“ nazywać na przyszłość „Kącikiem humorystycznym“ lub innym bardziej odpowiednim tytułem. Bowiem i dzisiaj — w czasach powojennych — wstyd nietylko był lecz jest nieodłączny od przekroczeń... zdrowego sensu.

Czytelniczka



MIŁOŚĆ—A ARTYSTKI FILMOWE

„Photoplay“, miesięcznik amerykański, poświęcony sprawom filmowym, ogłosił niedawno ankietę, przeprowadzoną wśród najsłynniejszych z urody artystek ekranowych, na temat: „Czem jest miłość?“ Z nadesłanych odpowiedzi wynika, że wbrew znanej piosence, „artystki nie biorą miłości zbyt tragicznie“, gwiazdy ekranu traktują ją w większości wypadków dość głęboko i poważnie.

Oto niektóre z bardziej interesujących definicji miłości:

„Miłość jest czemś, co dobrze znają kobiety — pisze Betty Compton — znają ją — lecz nie umie ją mówić o niej.“

„Miłość — jest to tkliwość, i wiara, i zaufanie — uścisk ręki przyjaznej i współczującej.“

„Miłość jest jak płomyk świecy, wskazującej przez szybę okienną zbłąkanemu wśród zamieci wędrowcowi cichą przystań szczęścia...“

„Miłość jest tem, co każda kobieta zna dobrze — ale mówić o niej nie umie...“

„Jestem matką — mówi Gloria Swanson. — A więc wiem, czem

jest miłość. Najwyższem ukochaniem każdej kobiety jest dziecko. Żadnej kobiety, chociażby była najgorszym moim wrogiem, nie chciałabym widzieć pozbawioną tego najwyższego szczęścia, jakim jest macierzyństwo.“

„Miłość pomiędzy mężczyzną a kobietą? Och, to kwiat jednodniowy. Włóżcie go do wody. Pielęgnujcie go, jak można najdłużej. Lecz nie płączcie zbyt po nim, gdy zwiędnie“.

„Miłość jest koniecznością mego życia — wyznaje szczerze Nita Naldi.“

— Męczy mnie ona. Doprowadza do chudnięcia, zdenerwowania, niemal choroby. Ale muszę kochać, tak jak i każda zresztą kobieta. „Miłość“ jest nieodzowna dla tego, kto chce żyć pełnią życia“.

Rodaczka nasza, Pola Negri, tak filozofuje na temat miłości:

„Miłość? Niema słowa bardziej zohydzonego — i niema piękniejszego w języku ludzkim. Miłość może być wytartym liczmanem, przechodzącym przez setki rąk, i drogocennym kruszczem, utajonym przed oczyma wszystkich.“

Prawdziwem zadaniem miłości jest — dawać. Im głębsza, im wyższa jest miłość, tem więcej i tem bezinteresowniej daje.

O miłości można mówić dużo, bardzo dużo. Lecz im głębiej się ją analizuje, tem bardziej przychodzi się do przekonania, że na dnie jej leży — jako podwalina — chęć poświęcenia“.

Wreszcie Konstancja Talmagne daje następujące humorystyczne określenie „prawdziwej miłości“:

„Jeśli kobieta czuje sympatję do mężczyzny:

Który jada rybę nożem,

Który wszczynają awantury z kelnerami w cukierniach,

Który zapomina złożyć jej życzeń w dniu urodzin, ale pamięta dobrze, ile lat skończyła,

Który znajduje, że jej suknia jest zbyt głęboko wycięta, ale spędza cały wieczór na ożywionej rozmowie z panią X., wydekoltowaną o dziesięć centymetrów głębiej,

Który chciałby zostać posłem do Sejmu,

Który wyznaje zasady najsurowszej oszczędności — ale uważa, że w czyn powinna je wprowadzać tylko jego żona,

Taka kobieta kocha naprawdę.

A jeśli z kolei mężczyzna kocha kobietę:

Która ubiera się modnie bez względu na to, czy jej z tem do twarzy.

Która przerywa mu wpośrodku zdanie, aby za niego skończyć opowiadanie,

Która nauczyła się trzech zdań w obcym języku i używa ich tam, gdzie niepotrzeba,

Która nie umie upiec ciastek, ale za to gra świetnie w Mah Jong.

Która podczas sceny małżeńskiej, wypomina swoją rodzinę,

Która gra na pianinie w sposób ewangeliczny, czyli, że jej lewica nie wie, co czyni prawica;

Która woli hodować koty i karnarki, niż dzieci,

Taki mężczyzna jest na prawdę zakochany!

Z. B.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIET

NARTY

Narty! Wspaniały, potężny, uprawiający sport!

To już nie rozrywka, nie zabawa na powietrzu, nie ćwiczenia fizyczne — to najpiękniejsza z namiętności, to najszlachetniejszy z hazardów, to najbardziej pociągająca walka z naturą.

Kto raz stanął na nartach, ten jak myśliwy czy marynarz nie zna już spokoju, żyje tęsknotą, czeka i marzy.

Jak tamten wśród gielku miasta, wśród szarzyzny pracy zawodowej, wśród ogłupiającej mody salonów ma przed oczyma duszy zielone tajniki lasów i pól, jak marynarz bezkres morza, tak ten wśród upału i kurzu miasta śni o niezmiernych polach śnieżnych.

Jak we śnie widzi na jawie mgły i śnieżyce, widzi poszarpane turnie skaliste, pokryte nawisami śniegu, czuje rozkosz mroźnego, czystego powietrza, słyszy świst wichrów i szmer lawin śnieżnych i nie może się doczekać chwili, gdy przypnie swoje „śmigłe drewnianki“.

Sport narciarski ogarnia u nas coraz szersze kręgi zwolenników, rozszerza się i pogłębia.

Mówią o szerokim wprowadzeniu go do wojska, prócz górskiej jazdy (granica południowa całej Małopolski), ma zastosowanie przy przebywaniu równin śnieżnych, błot i jezior zamarzniętych, w które tak obfitują nasze wschodnie i północnwschodnie granice.

Zaczęto uprawiać już jazdę na nartach z koniem, jazdę, która jest rozpowszechnionym środkiem komunikacji w krajach skandynawskich.

Wobec fantastyczności naszego klimatu, wobec zim często mało śnieżnych trudno powiedzieć, czy szersze, ogólne rozpowszechnienie narciarstwa w całej Polsce miałyby rację bytu.

Pewnem jest, że wspaniałe, wymarzone wprost tereny Małopolski, Tatry, Beskidy, Karpaty z takimi centrami jak Zakopane, Krynica, Sławsko i tyle innych, mniej dotąd wykorzystywanych, dają nam możliwość do stanięcia pod względem jazdy na nartach prawie, prawie na poziomie europejskim.

Zapewne że nie jesteśmy tem, co Norwegja lub Alpy, gdzie jeździć mogą a często wprost muszą wszyscy, gdzie żaden talent narciarski nie pozostanie w ukryciu.

U nas wśród kobiet szczególnie, wśród dziewcząt, wieleżby można odkryć takich urodzonych sportsmenek, którym jednak nigdy nie zdarzy się sposobność okazać, czem by mogły być.

Wieleż to razy dziewczyna, której po raz pierwszy zaproponowano sięść na konia lub łódź, zadziwia wprost wszystkich swoją niesłychaną brawurą, umiejętnem wzięciem się do rzeczy, siłą i zręcznością. Tymczasem jak niewiele takich, wśród których można wybierać.

Na kursach narciarskich jakże często próbują sił swoich jedynie panie, które przypadek, a więc względy towarzyskie czy zdrowotne zagnały do którejś z miejscowości klimatycznych. Jak często jak i w innych sportach chęć towarzyszenia mężowi czy narzeczonemu wyciąga na światło dzienne najmniej odpowiednie typy. Dużo takich pań można spotkać w górach, szczególnie latem.

Nie często natomiast widzieć można takie dobrane pod tym względem pary jak chluba naszego narciarstwa kobiecego p. Michałowska — Ziętkiewiczowa ze swoim mężem.

A tyle, tyle jest dziewcząt, któreby mogły napewno zająć bardzo wysoko, sięgnąć po nagrody i żetony, wślawić sport polski.

Tylko udostępniać, ułatwiać, rozpowszechniać ten najpiękniejszy, najtwardszy może ze sportów.

Narty! Co za szkoła charakterów!



Wytrzymałość na ustawiczne niespodzianki natury, na złe warunki pogody, na śnieg kłujący, siekający w twarz, na wicher, usiłujący obalić narciarza, na mgłę, która w męczący, zdradziecki sposób otula go, zasłaniając drogę, dusi moralnie i gnębi.

Mozolne wspinanie się pod górę, przestawianie obciążonych nóg krok za krokiem, przy dalszych wycieczkach ciało, obciążone plecakiem, co za wytrwałości i cierpliwości wymaga taki pochód; wieleż to razy walczącemu ze zmęczeniem narciarzowi przemknie przez głowę myśl „czy nie lepiej to było siedzieć w ciepłym, zacisznym mieszkaniu?“ — „Co po tych cudach natury, gdy ręce grabieją, nogi uginają się ze zmęczenia, twarz posiekana do krwi prawie“.

Każdy zjazd w dół w nieznanym terenie ileż kryje niespodzianek, ile trzeba przytomności umysłu. Nagle zmiana nachylenia pochyłości, niespodziewany zakręt, rów, czy inna ukryta pod śniegiem przeszkoda.

Sam moment puszczenia się w ten pęd szalony, trudny często do powstrzymania, ileż wymaga każdorazowo odwagi, jak błyskawicznej decyzji.

Najwyższym probierzem odwagi, opanowania siebie samego i techniki narciarskiej jest bezwątpienia skok.

Skok na nartach, jak skok na konia lub w wodę jest momentem, w którym wielu, nawet zupełnie pozbawionych poczucia sportowego zatrzymuje ze wzruszenia oddech.

Skok ma w sobie coś z lotu, człowiek zdaje się przestaje być w skoku człowiekiem!

Ta chwila, gdy już nic i nikt nie może pomóc, zatrzymać, już stało się, już zawisł w powietrzu, chwila ta ma w sobie coś niezrównanego, fascynującego. Jest ostatecznym, najwyższym napięciem wszystkich sił nerwowych i mięśniowych, napięciem, przy którym człowiek musi równocześnie zachować absolutny spokój i jasność umysłu.

I. F.

BIEG NA PRZEŁAJ POD PARYŻEM

Wspominam o ostatnim biegu na przełaj, który się odbył w listopadzie w Saint-Cloud nie dlatego, by był on specjalnie ciekawą manifestacją sportową. Dystans 1500m. przeszkody niewielkie płotki i rowy zwyciężająca doszła w 6'12". Nic nadzwyczajnego jednym słowem. Ale do biegu stanęło z najrozmaitszych klubów 50 zawodniczek!

ZNACZENIE INSPEKTU DLA SPRAWY WARZYW

Uprawa warzyw rzadko może się obejść zupełnie bez inspektów, ponieważ albo zależy nam na wcześniejszym wyhodowaniu ogrodowizn, musimy roślinom, pochodzącym z krajów ciepłych, przedłużyć okres wegetacyjny, właściwy naszemu klimatowi, żeby mogły dojrzeć. Fałszywym jest mniemanie, jakoby w inspekcji rozwój roślin ulegał przyspieszeniu. Przy jego użyciu hodowla stwarza jedynie sztuczne warunki, umożliwiające uprawę roślin w czasie, gdy normalnie, pod gołym niebem, jest ona niemożliwa, — czyli przesuwa jej początek, a dzięki temu przedłuża trwanie okresu wegetacyjnego.

Inspekty mogą być zimne lub ciepłe.

Inspekty zimne gromadzą tylko pod oknami ciepło słoneczne i dają roślinom ochronę przed chłódami nocnymi lub zmianami ciepłoty i wiatrami.

Inspekty ciepłe są, oprócz tego, podgrzewane sztucznie. Źródłem ciepła sztucznego mogą być fermentujące materje organiczne, albo rury, doprowadzające wodę gorącą lub parę.

Inspekty zimne mają doniosłe znaczenie dla wcześniejszego przygotowania rozsąd, dla zabezpieczenia przed przymrozkami wiosennymi wczesnych wysiewów warzyw wrażliwych, jak fasola, ogórki, dynie i t. p., dla przyspieszenia terminu rozwoju niektórych warzyw na wiosnę lub dojrzwania ich w jesieni, gdy już słońce słabo i krótko grzeje, a noce ciepłik ziemi zabierają; wreszcie dla zwiększania plonów drogą stworzenia przyjaźniejszych warunków rozwoju ogrodowizn delikatnych, zwłaszcza w lata chłodne i słotne.

Urządzenie inspektów zimnych jest tańsze, niż inspektów ciepłych, a pielęgnowanie wiele łatwiejsze.

To też inspekty zimne można gorąco polecić miłośnikom początkującym, którzy zechcą sobie wyhodować warzywa o 2 do 3 tygodni wcześniej w stosunku do zbranego z normalnej uprawy w gruncie.

W następnych numerach opowiemy, jak należy zakładać i pielęgnować inspekty. Tymczasem należy zająć się przygotowaniem części składowych samego inspektu, a więc skrzyni, okien, mat i wietrzników.

Skrzynię inspektową robimy z desek smołnych, sosnowych, grubych na 1½ cala (3½—4 cm.). Czworobok ten ma długości 5 m. 5 cm., szerokości 130 cm., przyczem boki krótkie obejmują boki długie*. Po rogach dla wzmocnienia dajemy od wewnątrz nogi, występujące nieco ku dołowi. Ściana podłużna skrzyni, zwrócona ku północy, powinna być mniej więcej o 5 cm. wyższa od ściany zwróconej ku południowi.

Jest to rozmiar skrzyni pięciookiennej. Zatem każde okno powinno mierzyć wysokość 130 cm., a szerokość 100 cm. W miejscach, gdzie się okna stykają, powinny le-

żeć w poprzek skrzyni listwy, szerokie 7 cm., a grube 5 cm., wpuszczone w odpowiednie, proste wycięcia w cienach podłużnych skrzyni, Pod środkowym oknem dajemy niekiedy listwę poprzeczną dla wzmocnienia skrzyni.

Żeby zabezpieczyć deski skrzyni i listwy od zgnilizny, można je smarować gorącym roztworem 5% siarczanu miedzi, albo 2% roztworem siarczanu żelaza, albo gorącą smołą gazową. Gdy ta ostatnia wsiąknie, należy posmarować te same deski mlekiem wapiennym. Carbolineum, godronitu ani innych preparatów do utrwalania drzewa budulcowego używać nie można, bo z nich wydzielają się gazy, zabójcze dla roślin.

Okna inspektowe malujemy najprzód czystym, gorącym pokostem, albo pokostem z dodatkiem minji (czerwonej farby), a po takim zagruntowaniu możemy nadać im kolor dowolny.

Do okrywania inspektów w czasie ciłodnym służą maty, wyrabiane ze słomy żytniej, prostej i wiązane dobrym sznurkiem. Żeby sznurek nie podlegał łatwo gniciu, można go zamoczyć w gorącym oleju lnianym lub rzepakowym. Maty powinny być dłuższe, niż wysokość okien, aby się po obu końcach skrzyni zwieszały i zasłaniały nieuniknione szczeliny pomiędzy ramami okna, a kantonem skrzyni. Szerokość powinna wynosić 140 do 150 cm., żeby cztery maty zakrywały szczelnie całą skrzynię. Na noce bardzo mroźne lub wietrzne można na matach kłaść warstwę desek.

Maty zdjęte z inspektu trzeba zawieszyc na barjerach, żeby szybko wysychały, a następnie zwinąć w rolkę i ustawiać w porze cieplejszej powinny być zachowane w stodole, czy innym składzie, żeby nie ulegały zniszczeniu.

Wietrzniki robimy z listwy grubej 3 cm. szerokiej 5 cm., a długiej 30 cm. Na niej wycinamy zęby co 7½ em. dzięki czemu możemy wyżej lub niżej znosić okno, zależnie od ciepłoty wewnętrznej inspektu, od temperatury otaczającego je powietrza i od indywidualnych potrzeb pielęgowanych w inspekcji roślin.

Stan. Schönfeld.

CZYTELNIĄ DLA DZIECI W PARYŻU

W połowie bieżącego miesiąca została otwarta w Paryżu bezpłatna czytelnia dla młodzieży w wieku od lat 6 do 16.

W starej dzielnicy łacińskiej 3 rue Boutefru w ładnym lokalu, który dało na ten cel miasto, mieści się ta miła i pożyteczna instytucja „gromadząca w swych salach setki dzieci, które w wolnych chwilach od nauki przybiegają do czytelnii, znajdując tu literaturę bogatą, ciekawą i najważniejszą to, że bezpłatnie. Ileż to dzieci przedtem oczekiwało dnia swych imienin, lub gwiazdki w nadziei otrzymania czegoś ciekawego do czytania! Przed witrynami każ-

dej księgarni widziało się malców, którzy pożądlwym wzrokiem ogarniali ładne wydania niedostępnych dla nich rzeczy. Obecnie każdą z tych książek może dziecko mieć w rękę, przeczytać ją i zaspokoić swą ciekawość.

Jest to placówka pierwsza tego rodzaju w Paryżu. Biblioteka, składająca się z 2000 tomów została ofiarowana miastu przez Book Comité on Children's Libraires Stanów Zjednoczonych. W Ameryce czytelnie tego rodzaju są bardzo popularne. Europa ma ich tylko kilka. To samo towarzystwo założyło bibliotekę i czytelnię dla dzieci w Bruxelli.

W Paryżu rozwija się ona nadzwyczajnie a frekwencja dzieci [daje dowód, jak taka instytucja była pożądana.

Nad drzwiami u wejścia widnieje napis: „Heure joyeuse”, wchodzi się do sali dużej, rześcicie oświetlonej, czystej. Wszędzie stoją okrągłe stoły, przy nich krzesła, wkoło półki z książkami, najrozmaitszemi: a więc obrazki dla małych dzieci-wierszyki, bajeczki, książki podróżnicze, historyczne, przyrodnicze — co dziecinna dusza zapragnąć może. Dzieci same szukają w katalogach i wybierają, co chcą. Nikt im lektury nie narzuca, mają kompletną swobodę. Na sali są obecne panie opiekunki, które w razie trudności w wyborze, lub wahanii radzą dzieciom, co mają przeczytać, ale robią to umiejętnie, aby dziecko nie wzięło w ręce książki, nieinteresującej dla niego i aby się nie zraziło.

Wszystkie dzieci, po wejściu do lokalu czytelnii, myją ręce i wtenczas dopiero mogą zabrać się do czytania.

Jak już zaznaczyłam czytelnia jest bezpłatna, dziecko tylko podpisuje się w księdze po przeczytaniu przyrzeczenia, które brzmi następująco: „Iż będzie dbało o książki i pomagało bibliotekarzom w tem, aby czytelnia była przyjemną i pożyteczną dla wszystkich”.

Wyrabiają tutaj w dzieciach poczucie dobra publicznego, musi ono dbać o to dobro, nie niszczyć książek, bo choć samo daną książkę już przeczytało, będzie ona służyła jeszcze tylu innym kolegom i koleżankom — i dziecko o tem pamiętać musi.

W lokalu panuje względna cisza, dzieci są pogrążone w lekturze i jedne drugim nie przeszkadzają. Maleństwa dzielą się po cichu, wrażeniami z widzianych obrazków z drugimi, ale naogół jest cicho. Paryż jest zadowolony z tych godzin radosnych które spędzają jego dzieci w czytelnii, to też Rada Miejska na jednym ze swych ostat, nich posiedzeń uchwaliła zapomogę dla czytelnii w sumie 5000 franków, dla rozwijania tej tak miłej i pożądanej placówki. Polska tego nie zna. Dzieci nasze pozbawione są przeważnie książki do miłego czytania poza lekcjami, gdyż książki w Polsce są bardzo drogie i nie mówiąc już o dzieciach niższych warstw społecznych, ale nawet dzieci naszej inteligencji pracującej nie mają tego, co mieć powinny. Po szkole i ewentualnie przygotowaniu lekcji na dzień następny chodzą do kinematografów nieodpowiednich, chodzą po ulicach, przglądając się wystawom sklepowym lub też

*) Są to skrzynie normalne wymiaru warszawskiego.

bezczynnie czas spędzają w domu. Pożądaną by była taka placówka jak l'Heure foyeuse w Warszawie.

Zająć się tem powinno społeczeństwo nasze, instytucje charakteru naukowo—społecznego. Zrobić zbior-kę książek na ten cel. Przecież każdy polski dom da choć jedną książkę. Później można dostać zapomogę od miasta, ale inicjatywa powinna wyjść od społeczeństwa, które niech pamięta o tem, że książka urabia duszę i umysł dziecka, a dziecko to przyszłość narodu.

Ha. Fa.

Z KSIĄŻEK

Jan Grabowski, „Przygody Józia w Agrykoli,” Tow. Wyd. „Ignis,” Warszawa.

Oczywa J. M. Barrie („Przygody Piotrusia Pana”) spojrzal autor na ogród miejski, wprowadzając do zabaw dziecięcych duszki-skrzaty. Świadomie nawiązał do polskiej tradycji, rugując niemieckie krasnoludki i angielskie elfy.

Zachował punkt wyjścia swego pierwowzoru: ogród z jego jawnem i utajonem życiem. Przejął też formę opowiadania Barrie, zwracającego się do młodych czytelników z świadectwem rzetelnem o dziwach i cudach, ale te ramy wypełnił treścią własną.

Jego bohater, Józio, po psich wyścigach w Agrykoli, wciągnięty przez skrzaty w jamę pod dębem, znalazł się w towarzystwie duszków, które porywają dzieciom zabawki, aby je następnie podrzucić. Tutaj słyszy i widzi chłopiec wszystko, co było kiedyś polską rzeczywistością: dawne zdarzenia, obrzędy, zabawy, dawnych ludzi i bogów. Niektórzy inni są, niż się o nich na świecie myśli i mówi. Skrzaty nazywają dziadkiem Madeja, a wujkiem Smoka wawelskiego, który nie jest straszny, ale zabawny. Nawet Pogwizd, olbrzym, władający wichrami, ma oczy figlarne, a Boruta łączycyki przekonał się, że skarby nie są dobrem i on, za diabła wśród żywych miany, uczy Józia głębokiej prawdy: „naucz się kochać, naucz się myśleć o tem, co kochasz, a ręce uzwyczaj do pracy dla tego wszystkiego, co kochasz. Cały świat wtedy twój!”

Grabowski zbliża świat fantastyczny do realnego, świadcząc z całą swobodą o „nieobecnych” już na świecie bohaterach legend i podań polskich. Kilka słów o Agrykoli i jej pobliżu, tu i owdzie rozsiane wzmianki o pamiątkowych miejscach w Warszawie (np. o złotej kaczce w podziemiu między Ordynacką a Tamką) dowodzą miłości miasta i polskich wątków fantastycznych. Ujęcie tematu oryginalne. Każda postać ze świata fantazji ma swe własne życie; jest przytem niezwykle plastyczna. Styl oparty na dobrej znajomości mowy dzieci, porównania z tej sfery również zaczerpnięte, odpowiadają duchowi książki. Pisana z prawdziwym talentem, przyczyni się z pewnością do ożywienia w młodzieży kultu tradycji ojczystej.

Zuzanna Rabska, „Baśnie kaszubskie” z rysunkami Molly Bukoskiej, wyd. M. Arcta, w Warszawie.

Baśnie kaszubskie nie przynoszą zasadniczo nowych motywów. Autorka stwierdza to sama we wstępnej pogawędce z czytelnikiem. Ale wszystkie opowieści dotyczą miejscowości lub stosunków kaszubskich—wszystkie lokalizują akcję nad morzem.

Nie są to autentyczne wersje ludowe. „O ostatniej syrenie nelskiej” opowiada z pewnością autorka od siebie. Inne baśnie stanowią literackie, a nieraz ideowe przetworzenie wątków pierwotnych, przez powiązanie kilku motywów, przez rozwinięcie myśli czy obrazu, lub zmianę nastroju. Silne akcenty moralne uderzają w tym zbioru. Wiara w sprawiedliwe ale surowe rządy Boga przebija niemal we wszystkich opowiadaniach.

Dłuższe opowieści, bogate w epizody jak baśń „O Bugdalu i o drewnianym koniu,” tworzą całość wykończoną w szczegółach, zamkniętą w ramy szerokie. Są i krótkie opowiadki, ujęte humorystycznie i dowcipnie. Pełna bezpośredniości gadka „O herbie miasta Pucka” łączy naturalnie, po prostu realistyczne obrazowanie z fantastycznym założeniem, tkwiącem w samym temacie.

Z baśni tych dowie się czytelnik nieco o tradycji mitologicznej i legendarnej Pomorza, o podaniach, związanych z nazwami miejscowości, o rzeczywistych i fantastycznych mieszkańcach morza. Kompozycja baśni jasna, styl niewyszukany. Ilustracje liczą się zarówno z tematem, jak i z charakterem miejsca, gdzie się akcja rozwija. Książka, wydana starannie, tworzy całość ciekawą.

* * *

Kazimierz Andrzej Czyżowski, „Maciek I. szy król powietrza.” Powieść dla młodzieży, ilustrował Zygmunt Grabowski, nakładem Ligi Obrony Powietrznej Państwa, Warszawa.

„Ojciec Macieka był znakomitym lotnikiem i chciał, by syn jego odziedziczył po nim panowanie nad chmurami, wichrami i burzami.” Stało się to wcześniej, niż myślał. Na zlecenie Zwierzchnictwa miał jechać z listami do Rumunji i Turcji. Zastał nagłe, i wtedy Maciek postanowił dopełnić misji ojca. W tajemnicy, zostawiwszy listy objaśniające, wyruszył w drogę. Zbłądził do Bolszewji, wyzwolił jeńca Po-

laka, stoczył zwycięski bój z 3-ma samolotami wrogów, przyjmowany entuzjastycznie przez ludność w Botuczach, potem na dworze królewskim w Bukareszcie, odznaczony krzyżem walecznych, udał się na swym „Orle” do Turcji. Listy wziął przyjaciel ojca, więc chłopiec nie pełnił już urzędowania. Jechał z owym jeńcem bolszewickim, Bartkiem. Spotkała ich straszliwa burza. Samolot pędził z szybkością 250 klm., co chwila groziła mu zagłada. Chłopiec czuwał mimo śmiertelnego zmęczenia, okazując hart i wytrzymałość niesłychaną.

Lecieli nad piaskami Sahary w czasie trąby powietrznej, dosięgli wreszcie osady ludzkiej, murzynów-ludożerców. Wylądowali, wyzwolili „białego” z rąk oprawców. Ludność uległa, przerażona bronią palną. Maciek został królem, napisał poddanym swym prawa, wzbraniające ludożerstwa, rozbojów i kradzieży. Miała to być kolonia polska pod protektoratem Prezydenta Rzeczypospolitej.

Z przeglądu treści widać, że na fabułę książki złożyły się motywy typowe dla powieści podróży i przygód. Błyskawiczne niemal zwycięstwa, spotkanie z ludożercami, zwolnienie „białego” od nieuniknionej śmierci, hołdy dzikich i panowanie nad nimi — wszystko to charakterystyczne i znane z romansów awanturniczych, pisanych dla młodzieży.

Energja i wytrzymałość Macieka przejawiają się w czasie jazdy powietrznej, pozątem jest on naiwny i dziecinny. Pomagają mu doradcy. Przedsiębiorczości Robinzona próżno w nim szukać.

Akcja toczy się szybko, — za szybko. Obrazy migają, nie zostawiając śladu swych kształtów; nie widzimy prawie otoczenia. Tylko jazda powietrzna — nowość jako temat, wyrażona w barwach i blaskach została żywsze wspomnienie.

Wiadomości geograficzne, czy wogóle naukowe sprowadzone do minimum.

Charakterystyki naogół konsekwentne i wyraziste.

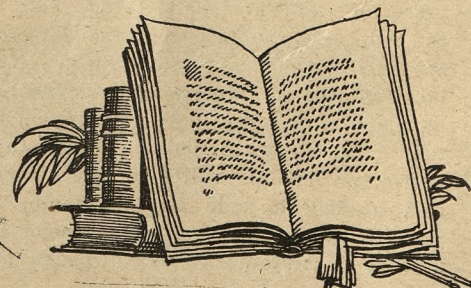
Bartek-samochwał, żarłok, ale dzielny towarzysz w niebezpieczeństwie jest postacią dobrze nam znaną z powieści Przyborskiego, Gawińskiego i in. Należy do rodziny bardzo rozgałęzionej w powieści wogóle.

Błażeński koncept Bartka zaraża chwilami samego powieściopisarza, gdy opowiada taką scenkę str. 452; „I w pół zgięty gospodarz wycfał się do drzwi i otworzył je nagle, bijąc niemi w nosy dwóch podsluchujących sługusów.”

Naogół powieść nie zawiera żadnych szkodliwych tendencji. Jej główny bohater to postać sympatyczna; czyn chłopca, podjęty z pewną roztropnością i z poczuciem odpowiedzialności nie może nikogo zgorszyć.

Książka nie wymaga wiele od czytelnika. Jest wyjątkowo łatwa. Może obudzić pewien zapal do awjatyki.

Z. Szymdtowa.

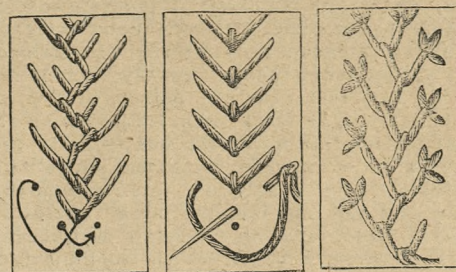


O Z D O B N E Ś C I E G I

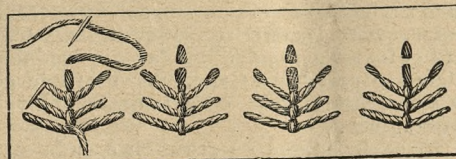
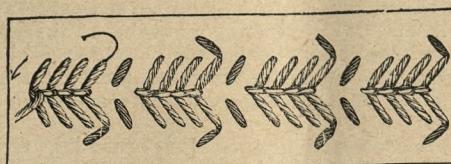


Śliczne są także do wykończania, bluzek, kamizelek, sukienek dzieciennych i dziewczęcych wąskie misterne szlaczki w jednym, lub paru kolorach.

Popatrzcie na załączone rysunki: każdy z nich łatwy i prosty, a każdy odpowiednio dostosowany ozdobi ślicznie przedmiot na

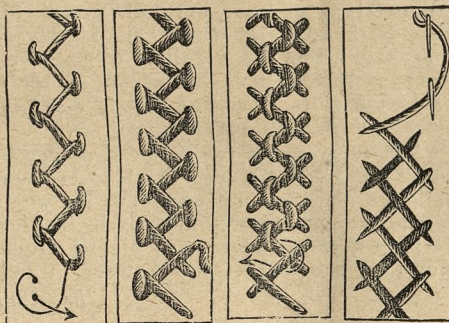


Ciągle trwa jeszcze moda ozdabiania sukien, bluzek a nawet palt — wszelkiego rodzaju haftami.



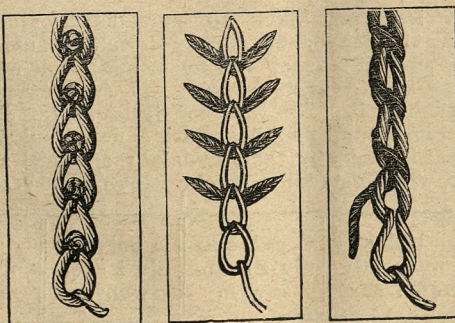
Hafty te bywają maszynowe, lub ręczne, zależnie od magazynu, gdzie są wykonane, zależnie od osoby, która je robi — Jednak te rodzaje deseni, które są dzisiaj najmodniejsze daleko ładniej wychodzą ręcznie haftowane.

Haftuje się przeważnie sztucznym jedwabiem złotą i srebrną nitką, lub wełną, albo włóczką — kolorami dobrane do sukni, ale po większej części żywymi i jaskrawymi.



Efekt dzisiejszego haftu nie polega bynajmniej na pracowitem, lub trudnem wykonaniu — osiągamy go najprostszymi środkami — ładnym doбором barw, i najłatwiejszemi ściegami — które każda z nas wykonać potrafi. Ścieg pocztowy, łańcuszek, supełki, — zwyczajne duże przeciągane ściegi, oto te, któremi zręcznie operując dochodzimy do bajecznych rezultatów.

A jakąż wartość ma ozdabianie haftem przy wszelkich przeróbkach. Suknia zniszczona — lub obnoszona zupełnie się zmieni, jeśli ją pokryjemy barwnym deseniem szlaków, lub motywów.



gustu i chęci wykonawczyni. W Paryżu bardzo są noszone kołnierzyki i ozdoby sukien haftowane na tiulu kolorową włóczką. Brzeg tiulu założony podług formy, jaka nam jest potrzebna wykończa się dzierganiem, a środek napełnia dość gęsto ułożonym deseniem, który też długimi, dzierganymi ściegami można wykonać. Po wyhaftowaniu tiul się wycina i zostaje śliczny i bardzo efektowny ażurowy haft, a w dodatku bardzo łatwy i prędko do wykonania.

Widziałam też śliczny kapelusik, wykonany włóczką na grubym tiulu!

Deseń stanowiły duże róże kolorowe z zielonemi listkami, haftowane włóczką i tak ułożone, że jeden bukietek prawie dotykał drugiego — kawałki tła, między haftowanym deseniem, zaszyte były złotą nitką przewlekaną przez oczka tiulu, a całość wyglądała nadzwyczaj oryginalnie. Kapelusz miał formę czapeczki z kilku kwaterok, o małym, odwiniętym rondku. Chcąc mieć taki, trzeba go zrobić z tiulu i dopasować — a potem na gotowym haftować deseń.

Oprócz zwykłego dziergania istnieją bardzo ładne sposoby wykończania brzegów, zamiast zwykłego obrębu, lub łączenia ze sobą dwóch materiałów, ale o nich pomówimy już innym razem.

którym go wykonamy, więc spróbujcie je zastosować.

Na ostatniej stronie dodatku mój podajemy kilka wzorów — wraz ze sposobem ich wykonania. Można je zastosować jako szlaki, o ciągłym deseniem, lub jako poszczególne motywy — to już zależy od



SUKNIE WIECZOROWE

W tej dziedzinie panuje dziś większa różnorodność, niż przed rokiem. Każda kobieta, obdarzona smakiem i pomysłowością, może wprowadzić do swych toalet wieczorowych nieskończony szereg urozmaiceń.

Są jednakże pewne zasady kardynalne, których przekraczać nie należy. Tak n. p. pamiętajmy, że lama—choć jest to materiał niezmiernie miły dla oka—staje się coraz mniej używaną. Zarzucają jej, że daje efekty zimne i sztywne, toteż przedkłada się dziś nad nią tkaniny nowe, doprawdy prześliczne, jak np. aksamit wytłaczany i aplikowany w deseń na tle musliu jedwabnego, cieniutkiego jak pajęczyna, a czasami jeszcze zahaftowanego złotem lub srebrem—lub też jedwabną „panne”, przybraną koronkami złotymi, srebrnymi albo też starymi Chantilly, czy Malines.—Moda ta pozwala nam użytkować skarby naszych prababek, przechowywane w kufrach wyprawnych, króćmyśmy jeszcze do niedawna pogardzały!

Jest także i aksamit zwany „velours miroir”, miękki jak jedwab, ciężki jak złotogłów i lśniący tak, jak na to wskazuje jego nazwa. Ulubionymi kolorami Paryżanek w tym sezonie są: szmaragdowo-zielony i rubinowy. Kolor niebieski jest absolutnie nie modny na toalety wieczorowe. Najpiękniejszy nawet jego odcień wydaje się zimnym i martwym przy oświetleniu elektrycznym. Zresztą, błękit zdaniem naszych elegantek, jest zanadto w rodzaju „angielskiej miss”. Nie chciałabym, pisząc o tem, ubliżyć córkom Albionu, które, gdy są ładne, są już niemi naprawdę—ale ich genre jest zbyt swoisty, aby mógł być zastosowanym do obecnego typu Paryżanek. A więc stanowczo—wyrzekamy się błękitu. A dla tych pań, które się lekają kolorów żywych—zielonego, chociażby go zwano szmaragdem i czerwonego, chociażby mu na imię było rubinowy—pozostają jeszcze odcienie subtelne: blade lila i delikatny, a wdzięczny różowy.

Widąc także wszędzie w tym sezonie atlas zwany fulgurante—tak go przynajmniej się mianuje teraz, bo każdy rok przynosi nam nowe nazwy, któreimi chrzcimy stare tkaniny, aby je odmłodzić. Jest to atlas połyskliwy, układający się w prześliczne draperje. Nasi fabrykanci sztucznego jedwabiu, lansują również pewien gatunek atlasu o wyglądzie niezwykle pociągającym dla oka, wyrabianym w mieniących się odcieniach srebrzystych z różowym i lila, lub złocistych z pomarańczowym i cytrynowo-żółtym. Radziłabym jednak kupować ten ostatni gatunek materiału tylko tym paniom, które mogą sobie pozwolić na większą ilość toalet wieczorowych. Niewątpliwie jedwab sztuczny jest znacznie tańszy, jeśli się sprawnia tylko jedną suknię wieczorową, lepiej jest wybrać materiał w dobrym gatunku, który się przenosi cały sezon i który jeszcze można będzie użytkować, w następnym, przerabiając go odpowiednio do mody.

Jaki będzie fason tegorocznej Twej sukni wieczorowej, miła Czytelniczko? Ależ taki... jaki tylko zechcesz,—pod jednym warunkiem, aby była zachowana linja prosta i wąska.

Jeżeli suknię chcesz zrobić z miękkiego aksamitu w kolorze mauve, utkanego na spodzie w mousseline de soie, zrób ją fasonem ładnie udrapowanym, owijającym się wężową linją wokół bioder i przytrzymanym na boku wiązaną fijołków parmeńskich. Niech będzie głęboko wycięta z tyłu z przodu zaś bardzo mało, a wycięcie z tyłu przykryte małą pelerynką—czemś w rodzaju minjaturowego płaszczka galowego dworskiego—obszyta, tak samo jak i dół sukni, oraz udrapowany jej brzeg, futrem grono-stajowym i przytwierdzoną lekko na ramio-

nach. Zapewniam Cię, miła Czytelniczko, że całość ta będzie miała wygląd niezwykle ładny i efektowny.

Jeśli wolisz gładki „velours miroir” w jednolitym kolorze szmaragdowym, niech suknia będzie nieco krótsza niż model poprzedni, a także mniej wycięta. Nosi się teraz dużo modeli o długich połach wąskich i rozciętych, takich, jak u starożytnych strojów wschodnich. Odsłaniają one spodnią sukienkę w kształcie wąskiego fourreau, zrobioną z crepe georgette tegoż samego odcienia, stanik jest prosty, wydekoltowany w kształcie litery V; połowa stanika jest z aksamitu, druga połowa z przejrzystej crepe georgette, przez którą przebłyskuje skóra.

Panie o pięknym wroście i dużej dystynkcji w ułożeniu mogą sobie pozwolić na toaletę, która nada im wygląd prawdziwie królewski. Składa się ona z wąskiego fourreau ze srebrzystej panne, na które spada od wycięcia przy szyi t. zw. fartuszek z tejże samej panne, wykrojony w kształcie podługno owalu i obszyty u dołu spebrną koronką. Z tyłu szeroka peleryna z tegoż materiału, której fałdy, miękko się układające, obszyte są również tą samą koronką.

A oto macie jeszcze jeden model, tym razem z atlasu, w kształcie greckiej tiuniki, nieco tylko bardziej obcisłej jak na wzorach antycznych. Będzie on niewątpliwie bardzo efektowny, gdyż nic tak nie podnosi pięknego połysku atlasu, jak ułożenie go w artystyczne fałdy o załamach pełnych i okrągłych.

A na te suknie—prawdziwe cuda wytworności i szyku—cóż włożymy jako okrycie? Peleryna, chociaż bardzo wygodna, musi być zrobiona całkowicie z futra n. p. sobolowego i podbita innym futrem, jak gronostajem, aby nas uchronić przed chłodem. Najkorzystniej więc zastąpią płaszcz z brokatela, podbity watoliną, o podszewce z mousseline de soie lub crepe georgette. Brokatela złota i srebrna będzie niezmiernie modna w tym sezonie.

Jest to materiał tak piękny i dający tak ładne efekty, że płaszcz z niego zrobione układają się, rzec można, same, nie wymagając żadnych skomplikowanych fasonów. Płaszcz taki przybierzemy piękną frędzlą jedwabną przy kołnierzu rękawach i u dołu.

br. Annie.

O FARBOWANIU

Rozpoczynająca się pora karnawałowa czyni niezbędnym przygotowanie sukien mniej lub więcej strojnych, mniej lub więcej kosztownych, zależnie od środków posiadanych. Mało kto ma teraz na to, aby przy każdej okazji sprawnia nową suknię, każdy jednak chciałby się rozerwać i zabawić. Posiadając trochę zabytków z prze-

szłości, głównie jasnych jedwabi, można ufarbować je na modne obecnie kolory; o ile nie dadzą się użyć na wierzchnią suknię można zastosować je jako spodny pod gazę, lub tło do haftowania i wyszywania kolorami modnych deseni dużemi przeciąganiami ściegami tasiemeczką „lacet”, wełną w barwnych tonach, lub nawet paciorkami.

Tylko trzeba pomyśleć o tem wcześniej, przygotować parę kombinacji, które później umożliwią wzięcie udziału tanim kosztem w niejednej zabawie i skorzystanie z niejednego zaproszenia.

Pragnąc ułatwić na pozór trudne zadanie farbowania w domu, daję tu kilka głównych wskazówek.

Do farbowania potrzebujemy: dużego, przynajmniej dziesięciolitrowego garnka emalowanego, który może być następnie użyty do gotowania, bo gdyby nawet zachował cień farby, łatwo da się wymyć solą lub sodą. Dwie pałeczki drewniane potrzebne są do obracania materiału w garnku i waga do zważenia go, bo ilość proszku do farbowania stosuje się podług wagi.

Do płukania ufarbowanego materiału potrzeba też przygotować obszerne naczynie, lub użyć wanny od kąpeli.

Głównym warunkiem dobrego ufarbowania jest, aby materiał był czysty, bez plam, które przedtem starannie należy usunąć.

Do farbowania używa się proszków, sprzedawanych w każdym składzie aptecznym, postępując z nimi podług przepisu na torebce. Na pięć litrów płynu dodaje się dobrą garść soli kuchennej, z którą płyn zagotować należy. Dobrze jest po ugotowaniu farby ufarbować w niej mały kawałek przeznaczony do farby materiału, wysuszyć i uprasować, przed umoczeniem całości, aby się przekonać czy kolor będzie właściwy. Trzeba zapamiętać jak długo był ten kawałek w farbie, bo im dłużej w niej leży, tem ciemniejszy wyjdzie. Najtrudniejszą sztuką w farbowaniu jest dobranie koloru. Trzeba pamiętać że z ciemnego tylko na ciemniejszy farbować można, z jasnego na dobrany do danego zabarwienia, z białego na każdy, najdelikatniejszy nawet kolor.

Po przygotowaniu farby trzeba uprany, wyczyszczony z piam, i z wody bez wyżymania otrząśnięty, lekko przesuszony materiał zanurzyć w gorącym roztworze, przekładając go pałeczkami tam i z powrotem przez cały czas gotowania, tak aby się równo ze wszystkich stron ufarbował. Od dokładności mieszania zależy jednostajność i równość koloru. Płyn powinien ciągle pokrywać materiał, w razie wyparowania trzeba dolać wody i zwracać baczną uwagę na czas przepisany do gotowania.

Lekkie materiały, mające się ufarbować na jasny kolor wkładamy w gorący roztwór doprowadzamy go do zagotowania i zaraz wyjmujemy. Chcąc otrzymać ciemne kolory jak brązowy, granatowy i t. d. trzeba

Kolor materiału do farby	w połączeniu z brązowym	w połączeniu z czerwonym	w połączeniu z niebieskim	w połączeniu z fiołkowym	w połączeniu z zielonym	w połączeniu z żółtym
brązowy	—	rudy	ciemno-oliw	ciemno-brązowy	oliw	—
czerwony	rudy	—	fiołkowy	wiśniowy	brązowy	pomarańczowy
niebieski	ciemno-oliw	fiołkowy	—	pervenche	szmaragdowy	zielony
fiołkowy	ciemno-brązowy	wiśniowy	pervenche	—	granatowy	brązowo-oliw
zielony	oliw	brązowy	szmaragdowy	granatowy	—	jasno-zielony
żółty	orzechowy	pomarańczowy	zielony	brązowo-oliw	jasno-zielony	—

kłaść materiał w gotujący prawie roztwór i pół godziny do trzech kwadransy gotować. Materiały wełniane i jedwabne trzeba gotować w farbie, bawełniane i płóciennie doprowadza się tylko do 80 st. gorąca, bo wtedy są najładniejsze. Trwałość barwy i nie smolenie zależą tylko od dobrego wypłukania. Płukać należy po ufarbowaniu w zimnej wodzie tak długo dopóki woda zupełnie czystą nie będzie. Im dłużej się płucze i im większe naczynie do tej czynności jest użyte, tem ładniejszy i trwalszy będzie materiał.

Chcąc dodać sztywności ufarbowanym materiałom dolewa się do ostatniej wody od płukania 2 gr. rozpuszczonej żelatyny na litr wody. Do jedwabi trzeba dodać octu i lżejszego roztworu żelatyny. Po wypłukaniu wiesz się rzeczy nie prute na ramiączkach, a kawałki materiału na dwóch drążkach opartych o krzesła. Suszyć najlepiej na powietrzu, w cieniu — jeśli na dworku, w pokoju, zdaleka od pieca. Skoro przeschną do połowy prasować po lewej stronie wełnę i bawełnę, a jedwab przez kawałek cienkiego płótna, niezbyt gorącym żelazkiem, żeby nie zmieniły koloru.

Zapewne wiele pań nie orientuje się z jakich zestawień jakie kolory otrzymać można, więc aby im to ułatwić podajemy wykaz z jakich materiałów, w zestawieniu z wymienionymi barwami można otrzymać pożądany kolor.

KORESPONDENCJE

P. Wandzie Q... Zupełnie podzielam zdanie pani, że utrzymanie w należytej czystości dywanów i mebli — jest rzeczą dość uciążliwą, zwłaszcza gdy dywan zaścieła cały pokój i czyszczenie go odbywa się w tymże pokoju, a poruszany szczotkami pył, wzbija się nieznośnym zapachem i znów osiada na to samo miejsce — Ale jest na to doskonały sposób zupełnie usuwający tę syzyfową pracę — mianowicie czyszczenie dywanów herbatą. — Należy zbierać liście wyrzucane z imbryków, od parzenia herbaty, po pewnym czasie będzie ich sporo. Wówczas — wyjąć je z płynu i obficie posypać dywan. Muszą być dobrze wilgotne — byle nie ociekały wodą — i następnie szczotką (nie miotełką) oczyszczać z liści, odrzucając je dalej na dywan. Dywan już oczyszczony związać w rulon oile jest takiej wielkości, że się da i nie jest przymocowany. Liście, przesunięte przez cały dywan — i pozostawione już zupełnie wilgoci — wyrzucać na posadzkę, choćby była najpiękniejszą frotrowaną — nic jej to nie zaszkodzi lecz przeciwnie, pochłonie przy zamiataniu, najładniejszy pyłek z kątów.

Dywan przy takim czyszczeniu odnawia się — barwy występują żywe i kurz cały jest wchłonięty w liście.

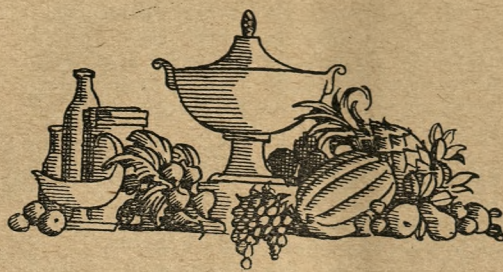
* * *

Prenumeratorce z kresów. Meble politurowane wyglądają stale jakby były świeżo odnowione, gdy się je wyciera z kurzu ściereczką przetłuszczoną. W tym celu wybiera się gałganek miękki i skrapia oliwą — następnie zwiija się go można, jak skropioną bielizną i pozostawia tak na parę dni aby się całkowicie przetłuścił.

Taka ściereczka zbiera kurz ze wszystkich szparek i rzeźb, daje im połysk nieźródłowany i choć wkrótce wygląda niemożliwie brudna, czynność swą spełnia doskonale.

Podkreślam, że tak przygotowana służy jedynie do mebli — do luster, kryształów i t. d. musi być zupełnie czysta.

Taką samą ściereczką dobrze jest wycierać listwy i kurz na piecach, lub szafach, bo wszystek pochłonie.



Wskazówki praktyczne

KANAPKI.

Nieocenione i niedoceniane wybawicielki z kłopotu gospodyń — przy braku miejsca, braku naczyń, braku służby, braku kuchni nawet, bo przecież tysiące osób z inteligencji, gnieździ się po pokojach, odnających bez prawa z niej korzystania, — a któż nie chce, któż nie jest zmuszony nieraz przyjąć kilku osób najskromniejszą bodaj herbatką.

Niestety, mimo, że kanapki stanowią przedmiot codziennego użytku, jak rzadko spotykamy ładne, apetyczne, a powiedzmy szczerze i smaczne kanapki.

Przeładowanie ich produktami, nie stanowi wcale ich zalety. Aby były ładne, smaczne i łatwe do spożycia, powinny mieć zachowaną pewną proporcję między chlebem, masłem i wędlinami, serem, czy innymi dodatkami, pokrywającą je.

Przedewszystkiem więc, gwoli wygodzie jedzących, powinny być małe, na jeden, dwa kąski, najwyżej, gdyż okropnie wygląda tartinka jedzona, za każdym kąskiem, której ciągnie się kawałek, nie chcąc się rozerwać szynki lub połównicy. Chleb czy bułka na nie użyta nie powinny być zbyt świeże, gdyż nie dałyby się ładnie pokrajać. Krajać je należy na grubość pół centymetra, — grube, twarde skórki chleba należy uprzednio skrajać ostrym nożem, lub otrzeć na tarce.

Masło do smarowania powinno postać ze sześć godzin w temperaturze pokojowej, aby się dało łatwo smarować, — smaruje się je cienko, aby tylko złączyć chleb z warstwą go pokrywającą. Wyjątek należy zrobić dla ostrych serów, kanapek z jajkiem i śledziem lub kilką; tutaj masła można dać o połowę tylko cienie, niż warstwa chleba.

Można ze śledzi, serdeli, śledzi wędzonych, szprotów lub sardynek, zrobić gotową masę, którą zmieszawszy dokładnie z masłem, smaruje się grubo bezpośrednio na chleb; warstwa taka nie powinna być cieńsza od chleba.

Do kanapek mięsnych doskonałym dodatkiem i garniturem są grzybki, korniszony, kaparki i plasterki kiszonych ogórków. Zaradka i pomysłowa gospodyni potrafi je urozmaicić do nieskończoności.

Wyborne kanapki na bułce robi się bez masła, zastępując je sosem majonezowym, grubo położonym, w który się wkłada przeróżne kawałki jaj, ryb, wędlin, grzybków, pomidorów — byle nie sera.

Anglicy, lubiący komfort we wszystkim, robią swoje kanapki składając dwa kawałki jaknajcieńszego chleba smarowanego masłem i zawierające wszelkie dodatki w środku między nimi. Kanapki takie, nie walające rąk, zwane „sandwiche“ obsychają jednak po wierzchu i mniej ładnie na półmiskach wyglądają.

FAWORKI.

Trzy żółtka, trzy jaja całe, sześć łyżek śmietany gęstej, niezbyt kwaśnej, dwie łyżki cukru, kilka gorzkich migdałów, utłuczonych na masę, duży kieliszek rumu lub araku i maki tyle, aby masa po wyrobieniu dała się wałkować nie podsypując mąką stolnicą, soli na koniec noża (około małej

łyżeczki). Ciasto wyrabiać dokładnie i długo, bijąc niem o stół lub stolnicę, bo tylko od dokładnego wyrobienia ciasta dobroć faworków zależy. Gdy ciasto dobrze wyrobione, wynieść je na godzin parę na chłód. Wałkować je potem jaknajcieniej, krajać zębątem kółkiem lub nożem na szerokie pasy, przewijając przez srodek raz lub dwa, jak zwykle faworki, układać rzędami na stole lub desce. Gdy wszystkie gotowe, rozpalić w szerokim, płaskim rondlu szmalcem wieprzowy, — próbować kawałkiem ciasta, gdy się rumieni i wypływa na wierzch, można już smażyć faworki. Przygotować duży półmisek lub tacę, pokrytą czystą bibułą i szklaną cukru, utłuczonego z wanilią. Wrzucać faworki kolejno po kilka na szmalce, gdy się zlekka z jednej strony zrumienia, przewrócić na drugą. Wymawować ostrożnie widelcem, (są bardzo kruche) układać na bibule i gorące posypywać cukrem z wanilią Z tej proporcji wychodzi spora taca faworków. W braku dobrego szmalcu, można faworki smażyć na oleju, najlepiej orzechowym, olej smaku ani zapachu w faworkach nie pozostawia. Na masle smażyć faworki się palą, na tłuszczach roślinnych nie rosną i pozostają zakalcowate.

WIANUSZKI MIGDAŁOWE.

Trzy ćwierci funta migdałów słodkich sparzyć wrzątkiem, obrać z łupin, pokrajać w jaknajcieńsze podłużne paski, wstawić na noc do letniego pieca, aby doskonale wyschły. Funt cukru, pudru, ucierać na misce lub lepiej w makutrze z czterema białkami, wcisnąć w to sok z dużej cytryny i nieco skórki cytrynowej, otartej na delikatnej tarce. Gdy masa zgęstnieje dodać migdały, wymieszać starannie, układać ręcznie wianuszki na opłatkach, (opłatki powinny być poukładane na blachach wysmarowanych woskiem lub posypanych mąką). Piec w bardzo umiarkowanym piecu, aby raczej schły, niż się piekły. Po wyjęciu z pieca ostrymi nożyczkami powycinać opłatek wokół i ze środków i przechowywać w szklanych słojach lub blaszanych pudłach.

PTYSIE.

Dwie szklanki wody i pół funta masła zagotować, wyspać funt mąki i mieszać na ogniu, aż odstanie od rondla. Odstawić, przestudzić nieco, do letniego jeszcze ciasta wbijać po jednym, osiem najświeższych jaj, wybijając mocno łyżką, aż zupełnie ostygnie. Blachę wysmarować masłem i układać na niej małe kulki rozmiaru włoskiego orzecha lub też malusie obwarzanecki.

Piec w gorącym piecu, — gdy ciasto zdarzone, rozrastają się bardzo. Po wyjęciu z pieca osypać gorące jeszcze pudrem utłuczonym z wanilią, lub też po ostudzeniu posmarować czekoladową polewą. Można też rozciąć każdy ostrym nożem i napełnić śmietaną bitą z cukrem i wanilią.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Największym skarbem w codziennym życiu jest niezależność, a niezależną jest tylko taka kobieta, która sobie we wszystkim sama poradzić umie i obejść się może, czy to w domu, czy w kuchni bez obcej pomocy.

Aby uzyskać tę niezależność, starajmy się znać na wszystkim, co utrzymanie gospodarstwa domowego stanowi, a nie będziemy ani zależne, ani tyranizowane przez nasze służące.

* * *
Czy materiał jest wełniany, czy bawełniany można poznać w następujący sposób: wyciągnąwszy kilka nitok podpalamy je zapalką — jeśli skręcają się i czuć je spalonym włosem—to wełna; jeśli się tłą i czuć je spalonym papierem—to bawełna.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 2.

32. Suknia z brązowej gabardiny, przybrana sukniem koloru fox trott i złotym chwastem.

33. Suknia z granatowego sukna, przybrana piaskowem sukniem. Kamizelka z kremowego crepe de chine'u z ozdobnymi granatowemi guziczkami.

34. Suknia z grubego atlasu koloru lila. Fartuszek haftowany złotem i fiołkowym, obszyty oposami.

35. Turban z aksamitu koloru rubinowego, przybrany fantazją ze strusich piór i perłami.

36. Ubranie głowy na bal maskowy: Pierrot i Pierrotka — Czapki z białego i czarnego atlasu — pompony czarne — kryza z czarnego tiulu. Do czapki przypięte pawie pióro.

37. Kapelusz z czarnego atlasu, lub aksamitu, wykończony złotym ażurowym galonem i podpięty złotemi różami.

38. Suknia wieczorowa z czarnej felpy, przybrana popielatym futrem i srebrnemi guzikami.

39. Suknia dla młodej osoby z crepe georgette koloru różowego, przybrana haftem i sznurami mieniących perełek.

40. Suknia z czarnego jedwabiu, przybrana czarną koronką, przerabianą złotem i szeroką aksamitką turkusową.

41. Suknia z brązowego „velours miroir“ obszyta sobolami. Kłapa ze złotej lamy.

42. Suknia z fularu, lub adamaszku desenioowego. Przód i rękawki z białego plisowanego crepe de chine'u. Kwiaty ułożone z materji w odpowiednim kolorze.

43. Sukienka z granatowej flanelki dla dziewczynki od lat 4 do 8, przybrana białemi falbaneczkami i guziczkami z perłowej masy.

44. Płaszczek dla chłopczyka od lat 2 do 4 z wełny w kratę. Czapeczka wełniana przybrana wyszyciem w kratę i pomponem.

45. Płaszczek dla dziewczynki od lat 6 do 9 z ciemno zielonego sukna, przybrany popielatym futrem.

46. Płaszczek dla małej dziewczynki z sukna piaskowego, przybrany bibretami.

47. Paltocik dla małej dziewczynki z ponsowego sukna, przybrany haftem czarnym i popielatym i obsyty popielatym futerkiem. Kapelusik z ponsowego sukna, haftowany jak paltocik i ubrany dużą kokardą z popielatej wstążki.

48. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 6 z granatowego sukienka przybrana taśmą czarną i białą.

49. Sukienka dla małego dziecka z flanelki ponsowej, haftowana włóczką.

50. Bluzeczka dla chłopczyka, wykończona falbaneczkami.

51. Sukienka z białej piki dla małego dziecka.

52. Ubranko dla chłopczyka z granatowej wełny, haftowane kolorową włóczką.

53. Bluzka dla chłopczyka od lat 4 do 6 z flanelki białej. Przód haftowany granatowym.

54. Ubranko dla chłopczyka od lat 3 do 5. Bluzka z ponsowej wełny, wykończona falbaneczkami. Majteczki z welnetu granatowego, przypinane do bluzki.

55. Strojna sukienka dla dziewczynki od lat 4 do 7 z woalu niebieskiego. Dół i kołnierz wyszity czarnym jedwabiem, ścięgiem łańcuszkowym. Kokarda z czarnej aksamitki.

56. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 7 z sukienka granatowego, przybrane ponsowym.

57. Desenie do wyszywania na sukniach i bluzkach. Haft kolorowy.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Przy zamawianiu trzeba wymenić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dziecinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Korespondencje, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Próżnej. Nie zgadzam się na pseudonim, którego Pani użyła, gdyż dbanie o swój wygląd, jest nie próżnością, a obowiązkiem każdej dbającej o siebie kobiety. Co się tyczy włosów, to zimą nie myć głowy, a czyścić i odłuszczać włosy na sucho pudrem „Florentin.“ Przepis użycia znajduje się przy każdym pudełku. Co do łupieżu, to pozbędzie się go Pani w kilka dni stosując „Tetral“, którym nacierać głowę parę razy tygodniowo. Jest to niezawodny środek, który nie tylko usuwa łupież, ale wzmacnia włosy i wstrzymuje ich wypadanie.

„Tetral“ polecam Pani śmiało, gdyż jest to środek wprost nadzwyczajny. Otrzymujemy setki podziękowań od naszych klientek, za nadzwyczajne działanie „Tetralu.“

Zofji K. Lepszego kremu do rąk nad „Pâte de Prelats“—niema. Działa bardzo szybko, bo już po paru użyciach, ręce nabierają nadzwyczajnej miękkości i delikatności. Twarz umyć otrąbkami Abaridowemi, a będzie zawsze gładka, gdyż otrąbki Abarid doskonale oczyszczają skórę i pory skóry. *Mm. Ercedès.*

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Redakcja i Administracja „Bluszczu“, przeniesiona została do domu własnego: Krakowskie Przedmieście 99 (plac Zamkowy), tel. 239-40.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, **OGŁOSZENIA** L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S UNGRA—Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ Długa 9 i l. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239 40.



KOMUNIKAT BIURA PRASOWEGO DLA SPRAW KOBIECYCH



WARSZAWA

10 STYCZNIA 1925 r

JUBILEUSZ p. WANDY UMIŃSKIEJ

Dnia 11 stycznia w niedzielę o g. 12 w południe, w mieszkaniu przy ul. Widok 19 zbiorą się przyjaciele i wielbiciele zasług p. Wandy Umińskiej dla doręczenia jej adresu, z podpisami tych, którzy świadkami będąc jej cichej, długoletniej pracy na polu oświaty ludu i krzewienia ducha narodowego i uczuć obywatelskich, pragną złożyć jej wyrazy hołdu i czci. Przewidziane są przemówienia przedstawicieli inteligencji i ludu.

P. Wanda Umińska jest jedną z niewielu już żyjących, czynnych uczestniczek powstania 1863 r.

LAUREATKA „KONKURSU WYDAWCÓW“

Na „Konkursie Wydawców“ nagrodę za twórczość powieściowo-nowelistyczną otrzymała stała ws ólpracowniczka „Bluszcza“ p. Marja Dąbrowska.

ODZNACZENIE

P. Wanda Dzierzbicka, kierowniczką Seminarjum nauczycielek ludowych w Warszawie, otrzymała krzyż oficerski orderu „Polonia Restituta“.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ

NA LITWIE KOWIEŃSKIEJ

Na Litwie Kowieńskiej istnieje polska organizacja kobieca „Koło Ziemiarek“, liczące przeszło 130 członkiń i stanowiące sekcję Związku producentów rolnych.

NOWY ODDZIAŁ ŻEŃSKI „STRZELCA“

Dnia 14 grudnia odbyło się w Grodzisku zebranie organizacyjne kandydatek do oddziału żeńskiego.

Po referacie informacyjnym o zadaniach oddziałów żeńskich w Zw. Strzeleckim, oraz krótkiej dyskusji zapisało się do Zw. Strzeleckiego 16 członkiń, z których na razie stworzona została drużyna. Ustalono plan pracy; część członkiń zapisała się do kółka amatorskiego, część do chóru.

Z ŻYCIA PROWINCJI

— PŁOŃSK w styczniu

Niedawno założone tu Koło Narodowej Organizacji Kobiet zorganizowało teatr amatorski, z którego dochód przeznaczono na zapomogi dla biednych i na przytułek dla starców. Dnia 29 listopada urządzono w miejscowym klubie urzędników państwowych „Andrzejki“, z tradycyjnymi wróżbami. Dochód w sumie 350 zł. przeznaczono na założenie domu pracy dla niezamożnych dziewcząt. Projektowane jest założenie szwalni dla dziewcząt.

PŁOCK w styczniu

W Płocku pod przewodnictwem p. doktorowej Beczkowiczowej funkcjonuje „Koło miłośników teatru“, którego opiece i zabiegom teatr miejscowy zawdzięcza swój byt i powodzenie.

ŁÓDŹ w grudniu

W Łodzi rozpoczęto energiczną walkę z prostytutką.

W ciągu bieżącego roku dochodzeń sutenerskich, podlegających kompetencji Sądu Okręgowego było 10, dochodzeń o stręczenie małoletnich dziewcząt—3, a co najważniejsza, że pociągnięto do odpowiedzialności 60 właścicieli mieszkań oraz 6 właścicieli hotelów za oddawanie mieszkań dla nierządu.

Policja zlikwidowała cały szereg mieszkań, w których mieściły się domy schadzek, a mianowicie: № 3, 7, 42, 57, 90 i 111 przy ul. Konstanyńowskiej, №: 46, 47, 50 i 55 przy ul. Głównej, przy ul. Andrzeja № 7 i 37, Południowa 21 i 23, oraz cały szereg domów tego rodzaju na krańcach miasta.

Nie we wszystkich jednak wypadkach uzyskano eksmisję dla właścicieli domów schadzek, gdyż odwołali się oni z apelacją do Sądu Okręgowego. W niedalekiej przyszłości zlikwidowane zostaną miejsca schadzek w domach na ul. Andrzeja, Lipowej, Rozwadowskiej i innych.

Urzędowi Sanitarnemu udało się obecnie ująć w silne karby prostytucję w Łodzi i rozpocząć z nią walkę, która niewątpliwie wykaże wyniki dodatnie.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

ANGLJA

Odczyt o Polsce w Londynie.

W dniu 19-ym listopada, w uniwersytecie londyńskim, miss H. E. Kennedy wygłosiła odczyt p. t. „Polskie weselne obrzędy ludowe i polska pieśń ludowa“, z materiału zebranego ze źródeł muzycznych w Polsce i opracowanych wspólnie z p. Zofją Umińską, uczennicą Władysława Żeleńskiego.

Odczyt był ilustrowany muzyką i śpiewem: Mrs. Whitelaw i Mrs. Beaumont, utalentowane członkinie Towarzystwa „The English Folklore Society“— pod którego egidą odczyt był urządzony, wykonały

na skrzypcach kujawiaki, obertasy i mazurki, a Mr. Currie, zawodowy śpiewak pieśni ludowe i kolendy w przekładzie angielskim.

Miss Kennedy jest znaną przyjaciółką Polski. Przebywała u nas dość długo, ostatnio w r. 1920. Język polski zna doskonale.

Zwiększenie liczby policjantek.

Ilość policjantek w Londynie ma być powiększona z dotychczasowych 24-ch do 50 ciu. „The Woman's Leader”, podkreślając ten fakt z radością, zaznacza, iż jest to jednak stanowczo zbyt mała liczba na tak olbrzymie miasto, i że zadaniem kobiecych stowarzyszeń powinno być dołożenie wszelkich starań u odpowiednich władz, aby liczbę tę znacznie powiększyć.

Pierwsze przemówienie posłanki Wilkinson.

Nowoobrana posłanka do parlamentu, panna Wilkinson, wygłosiła w zeszłym tygodniu swoje pierwsze przemówienie programowe, w którym podkreślała konieczność udzielenia praw obywatelskich wszystkim kobietom w Anglii i zniesienie dotychczasowej ustawy przyznającej kobiecie prawo głosu dopiero po ukończeniu lat 30-tu.

„WYCHOWANIE PRZEDSZKOLNE“

Pod powyższym tytułem wychodzić zacznie w r. b. miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania dziecka w okresie przedszkolnym.

Będzie to jedyne u nas pismo w tym rodzaju.

Redakcję objęła Marja p. Weryho-Radziwiłłowiczowa. Redakcja i Administracja: Aleja 3 go maja № 16. tel. 151-81.

CO PISZE PRASA

„The Catholic Citizen”, pismo kobiece, wychodzące w Londynie (organ Związku Politycznego i Społecznego pod wezwaniem św. Joanny), pomieszcza następującą wzmiankę o „Bluszczu”:

„Kobiety polskie posiadają doskonale redagowany organ „Bluszcz”, który porusza bardzo wiele interesujących zagadnień. Zauważyliśmy jednak, że brak mu specjalnego zainteresowania walką o prawa kobiety”.

Ta ostatnia uwaga, jest oczywiście następstwem niedostatecz-

nej znajomości stosunków polskich i braku informacji o istniejącym już w Polsce równouprawnienia kobiet.

„Wiadomości Literackie” (№ 52) zamieszczają długi wywiad u Marji Jehanne Wielopolskiej p. t. „W Krainie paradoksu.”

Z wywiadu dowiadujemy się, że utalentowana autorka pracuje obecnie nad pamiętnikiem wojny i powieścią z XVI w. p. t. „Rubinowa Oś”.

W „Głosie Nauczycielskim” № 19—20 z dnia 31 grudnia, spotykamy w ostrym tonie prowadzoną polemikę z artykułem p. Izy Moszczeńskiej, zatytułowanym „Hasła demagogiczne w szkolnictwie”. Artykuł ten drukowany był w „Kurjerze Warszawskim”.

„Praca szkolna” № 10 drukuje Jadwigi Karasiowej „Jak stosują metodę samodzielnej pracy w nauczaniu języka polskiego”.

ODCZYTY

—Szóste zebranie naukowe Lwowskiego oddziału Tow. Biologicznego odbyło się 18 grudnia w sali Instytutu Zoologicznego Uniwersytetu. Pomiędzy innymi wygłosiła referat naukowy p. Vrtelówna.

—Dnia 18 grudnia w sali Tow. Hygienicznego w Warszawie, p. Potulicka wygłosiła prelekcję p. t. „O pramie wewnętrznego rozwoju”. Prelegentka przemawiała w imieniu Koła teozoficznego pod nazwą

„Jutrzenka”. Charakteryzując zadania nowego stowarzyszenia, oświadczyła mówczyni: „Miłość wśród nienawiści, wielkość wśród małości — postawiliśmy sobie za cel”...

NA SZPALTACH PRASY

№ 836 poznańskiego „Przeglądu Porannego” z dn. 24/XII 1924. zamieszcza satyryczny feljeton „O Krytykach i Krytyce” M. Jehanne Wielopolskiej.

W № 52 z dn. 28/XII „Ziemi Sieradzkiej” p. H. Karbowniczakówna drukuje korespondencję z Burzenina, nawołującą do pracy oświatowej i do składania ofiar na gmach i bibliotekę szkolną.

P. Zofja Prawdzic-Sokolowska w № 295 „Słowa” kieleckiego z dn. 25/XII nawołuje do utrzymania tradycji narodowych.

W № 50 „Podlasiaka” z dn. 17/XII p. Ł. Siennicka człon. Dozoru szkolnego gminy Olszanka w pow. Konstantynowskim, zdaje sprawę z przebiegu pracy oświatowej w tym okręgu.

Dr. Z. Daszyńska-Golińska drukuje w № 10 „Drogi” ciekawe sprawozdanie z Kongresu Polityki Socjalnej.

W 295 № „Kurjera Lwowskiego” z dn. 25/XII p. Michalina Hausnerowa pisze b. ładny artykuł o oświacie w wojsku p. t. „Żołnierz polski nad elementarzem”.

Dodatek świąteczny do „Kurjera Łódzkiego” zawiera życiorys i kilka utworów poetyckich Ludwika le Cardonnelee'a, laureata nagrody Lasserre, w przekładzie Zuzanny Rabskiej, oraz poezje L. Macherskiej-Pruszyńskiej.

„Rozwój” № 50 — 51 drukuje wiersz pani Bożymir (pseud) p. t. „U Krypty Sienkiewicza w Katedrze”.

„Illustrowany Kurjer Codzienny” № 1, omawia „Pamiętnik księżnej Radziwiłłowej”.

„Młody Robotnik” № 23—24 zamieszcza artykuł O. Małkowskiej p. t. „Fabryka Przyszłości”.

W № 1, „Echa Warszawskiego” spotykamy wierszowany feljeton polityczny p. J. Stycz p. t. „Na pół serjo”.

„Twórczość Młodej Polski” drukuje powieść p. Heleny Radwan Łozińskiej p. t. „Boli serce, czasem boli...”

Wielkopolanin (№ 9) drukuje p. Marji Czeskiej Mączyńskiej szkic wigilijny p. t. „Powrót” i wiersz p. t. „U Żłobka”.

RÓŻNE

Dnia 3 stycznia otwarty został w Paryżu 3-ci Międzynarodowy Kongres pracowników umysłowych. Na honorową prezeskę Delegacji polskiej zaproszono p. Curie Skłodowską. Uczona polska zaproszona została także do honorowego Prezydium Kongresu.

CZEŚĆ UMARŁYM!

W Piotrkowie trybunalskim zmarła ś. p. Emilja z Karbowniczaków Mirosława Dobrzańska. Pani Dobrzańska, zarówno jak cała jej rodzina, położyła wielkie zasługi dla kultury polskiej w czasach prześladowań rosyjskich. Dom jej był ogniskiem polskości, promieniującym na całe miasto i okolice.